Nr. 30. Warszawa, dnia 17 (29) Lipca 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NIC Z DYALOGU.

Zawarta d. 4 b. m. ugoda rządu belgijskiego z przeciwnikami wydała z siebie 15-osobową komisyę z różnych stronnictw, powołaną do ułożenia projektu reformy wyborczej, zdolnego zadowolić wszystkich. Zadowolenia tego literalnie brać nie potrzeba: nie myślano o kwadraturze koła; chciano tylko znaleźć dla jednej strony takie *maximum*, dla drugiej takie *minimum*, przy którem by obie odskoczyć od siebie mogły i walki do upadłego nie uważały za dobro swe prawo, za swój obowiązek. Żeglując do rozejmu, pierwszą skałę szczęśliwie ominięto: skład komisyi nie wywołał oporu, któryby musiał ją rozerwać. Rozpoczęto czynności. Rząd odrazu złożył swój projekt przez ministra Schollaerta opracowany, złożyły i swoje, aż trzy, w tej samej liczbie występujące ważniejsze odłamy wielkiego stronnictwa katolickiego. Liberalni dopiero zapowiedzieli, że dadzą, ale nic jeszcze nie dali.

Projekt rządowy, jak wiadomo, zaprowadza systemat proporcyonalny, uwzględniający prawa mniejszości w siedmiu wielkich miastach Belgii, gdzie żywioły liberalne, wogóle postępowe i, oczywiście, skrajne, są najsilniejsze, a prawo mniejszości jest prawie bez wyjątku prawem katolików. Nie trudno więc było rządowi, zbudowanemu na zasadzie wspólnego wyznania i wspólnych wyznaniowych dążeń zdobyć się na reformę, która słusznie podnieciła przeciwników do walki. Z trzech projektów sejmowych jeden rozciąga proporcyonalność na wszystkie okręgi wysyłające obecnie najmniej trzech posłów, drugi poprzestaje na dwóch, trzeci wreszcie usuwa proporcyonalność przez zniesienie wyborów z listy *(scrutin de liste)* i zastąpienie ich wyborami jednomiennemi, tj. mianującemi jednego tylko posła z okręgu. Jest to nowy podział na okręgi jednoposelskie. Katolicy, mający w ręku środek demagogiczny, wysoce agitacyjny, i właśnie gniotący mniejszość, nie pozwolą go sobie wydrzeć, choć wnioskodawca jest sam katolikiem, i to katolikiem noszącym nazwisko Woestego, byłego ministra. On sam w swej osobie jest twórcą projektu.

W świetle tych czterech projektów wygląda cała sprawa reformy tak, jak gdyby walka w niej toczyła się tylko o *scrutin de liste*. Istotnie, dość wydrzeć z rąk ludzi robiących wybory tę wielką sieć, zarzucaną na całe okręgi, aby zagrożone nożem większości ofiary wyzwolić z pod ucisku i zagłady, jaką im gotuje przegłosowanie przez większość, niekiedy przewagą jednej tylko dziesiątej, piętnastej, a nawet jednej dwudziestej ogólnej liczby głosujących. Pod panowaniem zasady: „jeden okrąg jeden poseł," możliwość pomyłki czy błędu, niesprawiedliwości czy krzywdy—mogłaby być tylko możliwością rozmyślnie złej albo przez niedołęztwo niezręcznej geometryi wyborczej. Stronnictwo mające przewagę mogłoby tak granice okręgów poprowadzić, żeby mieć jak najwięcej swoich, tj. swoją większością wypełnionych. Ale na taką geometryę, czy miernictwo, znalazłoby się może wędzidło, gdyby okręgi wytworzono z pewnej stałej liczby ludności i oznaczano je jednym ciągiem na kolejno idących po sobie cząstkach terytoryalnych.

Nie byłoby nic zdrożnego, gdyby po zsumowaniu wszystkich głosów, które się nie utrzymały, każdemu stronnictwu pobitemu dano stosunkowo tylu deputowanych, ilu rzeczywiście wybranych przypadło na zwycięzkie większości we wszystkich okręgach kraju. Gdyby się to wydało zbyt hojnem, możnaby dzielnik pomnożyć przez dwa. W każdym razie wprowadzenie okręgów jednoposelskich jest o wiele bliższe prawdy i sprawiedliwości od tych nawet proporcyonalnych wyborów, po których zostaną zawsze nienagrodzone krzywdy. Najlepszem byłoby uznanie całego kraju za jeden tylko okrąg; postanowienie, że na daną liczbę głosujących w stronnictwie przypadać musi jeden deputowany i obdzielenie wszystkich stronnictw według posiadanej siły i okazanej energii. Liczba głosujących, podzielona przez ów wykładnik, dałaby liczbę posłów, wypełnienie zaś tej liczby ludźmi nie przedstawiałoby trudności: mający najwięcej głosów zostaliby posłami stronnictwa — już nie z jednego okręgu, ale z całego kraju. Niema co ukrywać: żyje się w stronnictwach i stronnictwami: trzeba im swobodę ruchów zostawić. Porozumienie się stronnictw w Belgii nie ma obecnie przed sobą widoków. Po dyalogu w komisyi nowe porwanie się za czuby — to najbliższa przyszłość.

Tydzień polityczny. Trzecia komisya konferencyi w Hadze ukończyła już swe czynności: ustanowiła komisye do badania zatargów i stały sąd rozjemczy, zostawiony do woli mocarstw. Komisya pierwsza wyraziła tylko życzenie, aby kiedyś zmniejszenie uzbrojeń i budżetów z krainy ulotnych marzeń mogło przejść w krainę żelaznej rzeczywistości. Komisya druga do zwyczajów wojennych zrobiła najwięcej, ale nie najlepiej: podjęła porzucone dawniej prace i ulepiła z nich projekt. Protokół ogólny ma być na sobotę gotowy. Nie wszyscy i nie wszystko w nim podpiszą; a podpisanie jeszcze nic zawrze w sobie zgody na proponowane, w paragrafy już ujęte porządki.

Ilustracyę artykułu z przeszłego tygodnia daje telegram z Paryża z d. 25 b. m. o przenie-

sieniu gen. Negrier ze stanowiska inspektora i członka rady wojennej na inne. Generał ten już w r. z. po ćwiczeniach letnich pogroził rzeczypospolitej w mowie okolicznościowej. Teraz urzędownie zawiadamiają, że należał do zmowy z Deroulèdem, że nazwał go „swoim“ człowiekiem, za którym gotów jest iść, a gdy mu w żywe oczy wymówiono takie buntownicze usposobienie, odpowiedział, że niczego nie odwołuje, nie dba o to, co go spotka, ma za sobą armię i wie, że armia za nim pójdzie. Teraz już chyba łudzić się nie można; wątpliwość tylko: ilu też takich Negrierów na rzeczpospolitą sprzysiężonych kryje w łonie swem jej armia?

Minister wojny zakazał oficerom z innych korpusów, prócz stojącego w Rennes, zjeżdżać na sąd wojenny w sprawie Dreyfusa. Na miejscu ostrożność niesłychana. W razie uniewinnienia możliwy rokosz jawny. Militarno-monarchiczno-klerykalny duch Bretanii dopomoże obrażonej dumie szbli do gwałtu. Rząd niepotrzebnie zupełnie wmieszał się w sprawę przez przypomnienie punktów „rzeczy przesądzonej“ — nie sądowi wprawdzie, ale komisarzowi, którego sam zamianował. Jeden z tych punktów: zeznania kapitana Lebrun-Rénaulta wymaga wyjaśnień. Sąd ma rozpocząć czynność d. 7 sierpnia, w poniedziałek.

D. 20 b. m. nowy nuncyusz Lorenzelli przedstawiał się p. Loubetowi. Przemówienia miały ostrza zwrócone ku Niemcom i ich pretensyom palestyńskim: stwierdziły przywilcje i prerogatywy Francyi.

Dnia 24 b. m. zapadły już pierwsze wyroki w sprawie zamachu na Milana z d. 6 b. m. Jednego skazano doraźnie na 10 lat więzienia. Głównych jeszcze nie tknięto. Mocarstwa ostrzegły, aby nie popełniano mordów sprawiedliwości. Rosya żąda zupełnego ustąpienia Milana z Serbii.

Cesarz austryacki na podstawie § 14 wprowadził w życie prawne ugodę z Węgrami o podatki spożywcze i podniesienie opłaty od cukru do wysokości węgierskiej. Protesty, hoki, burze — a przeciw nim zimna konieczność: § 14 musi rządzić Austryą, dopóki Niemcy pierwsi nie wyciągną ręki do zgody.

Cesarz Wilhelm w tegorocznem letnictwie swojem będzie polował w Szwecyi, przy sposobności zjechać się ma z następcą tronu szwedzkim. Do nauczyciela swego ojca, Hinzpetera, przesyłając mu jakiś podarunek, napisał list przypominający prawa woli monarszej — w Prusiech i w Niemczech. Dziennikarstwo, nawet niemieckie, miało tu cierpkie jabłko do zgryzienia. Cesarz pomimo zaprzeczeń ma wciąż zamiar kupić sobie kawałek ziemi we Francyi.

Hr. Gołuchowski zjedzie się z kanclerzem Hohenlohe w Aussee d. 9 b. m.

Na Samoa pokój. Obaj królowie zrzekli się królowania, Chambers — sędziostwa; wspólna komisya sprawuje rządy — tymczasowo.

Powieszenie doraźne kilku Włochów w Luizyanie wywołało bezzwłoczne przeproszenie ze strony Unii i obietnicę wymiaru sprawiedliwości. Inaczej z Austryą: wolno wymordowywać jej poddanych, jak w Hazzleton w r. 1897 i odmawiać nawet jednego dolara wdowom i sierotom.

Z Transwalem stosunki Anglii łagodniejsze. Salisbury, Brodrick polegają na Krugerze. Nawet archi-sofista Chamberlain się cofa.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

NOWA POSTAĆ LICHWY.

Doświadczenie już niejednokrotnie wykazało, jak jest trudno pogodzić pewne formy ekonomiczne lub społeczne, w teoryi zarysowane, z praktyką życiową; jak długo trzeba je wtłaczać w życie, aż się odcisną i dokładnie wejdą do wszystkich wyżłobień bytu, przystosują się do jego wzniesień i krzywizn. Odlanie takiego modelu teoretycznego, któryby harmonizował z potrzebami życia mas, wymaga długiej, usilnej pracy, niepospolitego daru oryentowania się w stosunkach ludzkich i ich powikłaniach. Praca taka nigdy nie może być przedsięwziętą przez jedną grupę specyalistów, a tem bardziej przez pojedynczego człowieka. To też do współpracownictwa nad przeprowadzeniem jakiejkolwiek doniosłej reformy, dotykającej interesów mas ludności, zwykle bywają powoływani przedstawiciele najróżnorodniejszych dziedzin bytu, którzy częstokroć nietylko toczą z sobą dyskusyę, lecz wprost formalną walkę. Każda grupa stara się bronić własnych interesów, każda wysuwa na pierwszy plan przedewszystkiem swoje potrzeby. Dopiero ci, którzy stoją po nad tem wszystkiem, którzy mają na względzie dobro ogólne, muszą godzić owe interesy, usuwać sprzeczności. Zadanie to olbrzymie i niezmiernie trudne, tak dalece, że nawet najświatlejsze umysły nie zawsze mogą powiedzieć z góry, że ta lub inna reforma da się przystosować doskonale w życiu, bez wypróbowania uprzedniego. To też obok kombinacyj, stworzonych z rozumowań teoretycznych i pewnych wskazówek praktyki życiowej, dostarczonych przez rzeczoznawców różnych kategoryj, zawsze niepoślednią rolę w reformach musi grać pewna doza empiryi, tak samo jak np. w doświadczeniach i próbach rolnika nad właściwościami pewnej nieznanej rośliny, przystosowywanej do warunków danej miejscowości. Dopiero długa praktyka i znaczna suma spostrzeżeń rzetelnych pozwala prostować i udoskonalać nakreślone z góry kombinacye.

Podobne przykłady widzieliśmy po wprowadzeniu taryf różniczkowych, które musiano, po wypróbowaniu, kilkakrotnie przekształcać. To samo było z Bankiem państwa, Bankiem włościańskim, kredytem melioracyjnym itd.

Obecnie fazy wypróbowywania przechodzi monopol wódczany. Praktyka wykazała pewne niedokładności i chropowacizny, na które sfery właściwo zwróciły już poniekąd uwagę. Między innemi ujawniła się nieprzewidziana w chwili wprowadzenia reformy rozbieżność w interesach. Według przyjętych zasad, skarb zawiera umowę z wytwórcami, na której podstawie zapowiada przyjmowanie spirytusu od 1 stycznia. Producent licząc na to, reguluje odpowiednio swoje interesy i przygotowywa się do dostawy: gdy wtem naraz mówią mu, że produkt jego nie będzie przyjęty ani w styczniu. ani w następnych miesiącach, ale dopiero może w maju, gdyż powstała nadprodukcya. Wytwórca znalazłszy się w fatalnem położeniu, nie widzi innej rady, jak tylko w pomocy pobocznej.

Edward Strumpf.

Na szczyt Lalwaru.

(Z wrażeń kaukaskich).

„Zobaczyłem ją tylko raz na chwilę,
I już pewnie nie ujrzę jej więcej —
Dziwny los...“

Był chłodny, gorski dzień letni. Jechałem konno do lasów Hudżabskich, aby spotkać się tam w koczowisku tatarskiem z towarzyszem Gruzinem. Biały rumak krwi arabskiej o wdzięcznej głowie i zręcznych ruchach niósł mię równo i szybko, prując fale powietrza, które nam wiatr ciskał na spotkanie.

Za nami, na południo-wschodzie, skaliste szczyty ginęły w jakiejś czarności złowrogiej, zapowiadającej grad, czy deszcz ulewny: przed nami otwierała się długa dolina, którędy mieliśmy się piąć na przełęcz ku „Wilczym wrotom.“

Jechaliśmy we dwóch: ja i Gruzin Elgudża, pastuch hudżabski, przysłany mi na przewodnika. Pocieszny to jegomość: małego wzrostu, utykający na jedną nogę, śpiewak, leniuch do pracy, ochoczy do figlów z dziewczętami. Oprócz języka ojczystego znał on jeszcze tatarski (narzecze aderbejdżańskie), który jest powszechny na całym zachodzie Azyi, ja zaś zbyt mało rozumiałem język tatarski, abym mógł w nim prowadzić gawędę; przeto niezbyt uśmiechała mi się perspektywa kilkunastogodzinnej jazdy w towarzystwie człowieka, z którym się porozumieć nie można. Gdyśmy przebyli pewną przestrzeń w milczeniu, ot aby przerwać tę ciszę przykrą, zwróciłem się do niego:

— *Urus bilmersan?* [1])

— *Joch!* [2]) — odpowiedział mi i uśmiechnął się, wzruszając ramionami; odgadłem, że mu się dziwnem wydało towarzystwo dwóch ludzi, wzajemnie się nie pojmujących. Uśmiechem i gestem podobnym potwierdziłem to jego wyrażenie bez słów, a w odpowiedzi usłyszałem znów niedźwięczną kaskadę śmiechu.

I w ten sposób zaczęliśmy rozmowę. Często, wskazując palcem przedmioty, pytałem go:

— *Buna adyń dyń muzułmen?* [3])

[1]) Po rosyjsku nie rozumiesz?
[2]) Nie.
[3]) Jak się to nazywa po tatarsku?

On mi odpowiadał wyrazem tatarskim, to znów mówił nazwy wiosek spotykanych i daleko plamami się rysujących — i taka była gawęda nasza, przerywana okresami milczenia. Gdym chciał prędzej jechać, spinałem konia i rzucałem mu:

— *Sjur tez, czoch sjur!* [1]) — a zwalniając bieg konia, mówiłem:

— *Jawasz, Elgudża, jawasz* [2]).

I tak nam czas schodził.

Kiedyśmy ujechali już dobrych kilka wiorst, ujrzeliśmy zbliżającego się ku nam jeźdźca na koniu; przy boku błyszczał mu kindżał w srebro oprawny, a przez ramię przerzuconą miał skałkówkę o bardzo długiej lufie i kolbie kształtu lejkowatego; twarz ginęła pod osłoną zwieszających się z czapki długich kosmyków szerści baraniej. Kiedy podjechał do nas, konia nieco zatrzymał, głowę opuścił i rękę na piersi złożywszy, imieniem nas bożem powitał:

— *Ałłas — ałłas!*

Był to Tatar okoliczny; jechał do swego koczowiska, które znajdowało się w kierunku naszej drogi, więc dążyliśmy razem. Przewodnik zarekomendował mię, jako inżeniera; w okolicy miano wówczas budować nową drogę żelazną z Tyflisu do

[1]) *Sjur* = jedź; *tez* = prędko; *czoch* = bardzo.
[2]) Stój, poczekaj.

Taki stan rzeczy wytworzył bardzo szybko nową postać aferzysty: skupywacza spirytusu. Mając pieniądze, nabywa on gorzałkę od wytwórcy, płaci mu od 29 do 32 kop. za wiadro, podczas gdy cena skarbowa jest 53. Następnie doczekawszy się cierpliwie terminu wskazanego, sprzedaje spirytus skarbowi według normy ustanowionej, czyli zarabia na wytwórcy po 11—14 kop. od wiadra. Jest to oczywiście zarobek olbrzymi, lichwiarski, tolerowany jednak z konieczności. Faktycznie tedy wytwórca sprzedaje spirytus za bezcen, z wielką dla siebie stratą, podczas gdy najświetniejsze interesy robi kapitalista-skupywacz.

W wielu miejscowościach stosunki gospodarstwa rolnego tak się ułożyły, że byt rolnictwa oparto na produkcyi okowity. Zmienić ten system, przerzucić się do innego rodzaju gospodarki, nie jest rzeczą łatwą, przeciwnie — byłoby krokiem ryzykownym, który mógłby spowodować zupełną ruinę. Rolnik więc musi tańczyć w zaklętem kole, musi się zaprzedać nowej postaci lichwy. Jeżeli na tem cierpi właściciel ziemski, to cóż mówić o dzierżawcy, który z 29 kop., otrzymywanych od skupywacza, musi jeszcze potrącić dość znaczny procent na tenutę?

Przypuśćmy, że zachodzi istotnie stała nadprodukcya w danych miesiącach, że skutkiem tego kasa monopolu musi zwlekać prawie pół roku z nabyciem produktu. W takim razie należałoby stworzyć jakąś organizacyę pomocniczą, którąby się stała regulatorem interesów monopolu skarbowego i rolnictwa. Regulatorem takim może być nowa postać kredytu taniego dla wytwórców spirytusu, bądź w formie zaliczenia, bądź jakiejkolwiek innej, która pozwoliłaby producentowi wyczekiwać cierpliwie stosownej chwili. Jak wiadomo, kredyt melioracyjny jest obecnie w fazie reformy po próbie trzyletniej. Otóż interesowani powinni się postarać o przyjęcie ich także do kategoryi pożyczkobiorców melioracyjnych, zwłaszcza że reforma zapowiada znaczne rozszerzenie kredytu, tj. uwzględnienie wielu działów gospodarstwa rolnego, dotychczas pominiętych. Trzy miliony rubli, przeznaczone obecnie na rozszerzenie operacyj kredytu melioracyjnego, nawet jeszcze przed wprowadzeniem zapowiedzianej reformy, dowodzi, iż istnieje stanowczy zamiar utrzymania na stałe tego rodzaju pomocy i że ma ona uwzględnić istotne potrzeby rolnictwa. Ponieważ zadaniem tej organizacyi kredytowej będzie *wzmacnianie* przemysłu rolnego za pomocą podnoszenia jego intesywności, więc i popieranie gałęzi gospodarki przetwórczej całkiem słusznie należałoby wciągnąć w zakres tych operacyj.

Tę doniosłą sprawę mogłyby wszechstronnie wyświetlić i opracować tylko organy ziemiańskie, a więc Towarzystwa rolnicze. O ile rzecz będzie przedstawiona gruntownie w formie memoryału, można oczekiwać pomyślnego wyniku zabiegów. Niech wytwórcy interesowani i zagrożeni wezmą pod rozwagę tę myśl naszą.

Zarówno gubernie Królestwa Polskiego, jak i Cesarstwa, posiadają szybko wzrastającą kategoryę wytwórców rolnych — dzierżawców, zupełnie pozbawionych dotychczas pomocy kredytowej. Jest między nimi sporo ludzi wysoko uzdolnionych i rzetelnych, którzy przy zapewnieniu im środków odpowiednich staliby się niemałą dźwignią rolnictwa. Tymczasem zależą oni najbardziej od wszelkiego rodzaju skupywaczów, a ponieważ dzierżawią nietylko ziemię, lecz między innemi i gorzelnie, więc zależność ta obecnie jeszcze bardziej się uwydatni. Cierpi na tem olbrzymi odłam gospodarki, cierpią ogólnie interesy mas ludności. Otóż przy opracowywaniu bądź jakiejś nowej formy kredytu, bądź melioracyjnego, należy koniecznie wziąć pod uwagę dzierżawców. Takie tylko wszechstronne uwzględnienie potrzeb może podnieść położenie ekonomiczne kraju i uwolnić go od zależności lichwiarzy-skupywaczów.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Mazurzy pruscy. — W. Ks. Poznańskie na tle konstytucyonalizmu pruskiego. — Nowy wniosek hakatyzmu. — Zakazy i kary. — Przypomnienie. — Uchwały związku wszechniemieckiego. — Nowy nauczyciel-kat. — Towarzystwo antigrużliczne. — Towarzystwo młodych przemysłowców. — Sprzedaż dóbr.

Czy Mazurzy pruscy są zniemczeni? Takie pytanie nasuwa się każdemu, kto ma sposobność słyszeć lub czytać utyskiwania na wpływ i przewagę żywiołu niemieckiego. Mazurzy pruscy nie są Prusakami, bo ich krwi nie zdołano jeszcze przerobić za pomocą skrzyżowania; natomiast użyto wszelkich środków, ażeby przerobić ich dusze i umysły na sposób niemiecki. Zaczęto więc od zaszczepienia i podtrzymania pojęć separatystycznych. Mazurzy tedy nie są Polakami, lecz tylko „Mazurami,“ „ludem mazurskim.“ Wogóle Niemcy potrafili skorzystać z niedojrzałości tego ludu, zaszczepić w nim pewnego rodzaju służalczość i zabić wszelkie zarodki uświadomienia narodowego. Wschodnio-południowa część Prus wschodnich nazywa się „Mazuren.“ „Tyś Mazur! — wpajają nauczyciele dzieciom. Polakiem być nie możesz i nie powinieneś, bo Polak to nazwa określająca najgorszych poddanych króla pruskiego i cesarza niemieckiego. Wasza mowa nie jest polską, lecz mazurską.“ W końcu sami przewodnicy uwierzyli, że Mazur nie może zrozumieć Polaka, że mówi zupełnie odmiennym językiem. Dzięki systematycznej pracy nad „wychowaniem“ tego ludu, potrafiono wyrobić w nim nadzwyczajną uprzejmość, raczej tchórzostwo względem Prusaka. Mazur nie wiedząc, kogo ma przed sobą, wita zawsze nieznajomych pozdrowieniem: „Morgen“ lub „Tag.“ Jeżeli w gromadzie ludzi znajdzie się chociażby tylko jeden Niemiec, wszyscy Mazurzy mówić będą po niemiecku, pomimo że to im przychodzi z wielką trudnością i że Niemiec nie zawsze może zrozumieć taką mowę łamaną. W ten sposób powoli wyrabiając tchórzostwo i służalczość, potrafiono lud mazurski doprowadzić do tego, że nawet niejednokrotnie ulega on zakazowi abonowania np. *Gazety ludowej*, pomimo że z zakazu tego kpić może.

Karsu, przeto od kilkunastu miesięcy odbywały się tu po dzikich wąwozach górskich pomiary i badania, a ludność w każdym nieznajomym Europejczyku upatrywała inżeniera. I Elgudża powziął widocznie taką myśl co do mojej osoby: wydać mu się musiała tak naturalną, że już nikogo o mnie nie pytał.

Nowy towarzysz podróży zaczął coś do mnie mówić, lecz gdym mu odpowiedział, że nie rozumiem, roześmiał się i ramionami wzruszył: i jemu się dziwnem wydało, że ja tu z nikim, ale to z nikim dobrze się porozumieć nie mogę. Umiał wszakże trochę po rosyjsku i strasznie łamanym językiem, niemożliwie kalecząc pojedyncze wyrazy, począł mię rozpytywać o nową drogę żelazną. Udzieliłem mu nieco wiadomości, opowiedziałem, skąd zaczynają budować, w jakich miejscach rozpoczęto roboty, kiedy mniej więcej będą zakończone, ile godzin jazdy do Tyflisu itp.

Trudno było mu to wszystko wyłożyć; musiałem używać możliwie małej ilości wyrazów i umyślnie łamać język, prawidłowych bowiem zwrotów i odmian nie mógł w żaden sposób zrozumieć. Gdym chciał mu, naprzykład, powiedzieć, że kolej skończona będzie naprzód między Tyflisem i okoliczną wioską Sadachło, wyrazić to musiałem w sposób następujący:

— Pierwszy... będzie... Tyflis... Sadachło.

Doszedłem do tego po kilku próbach, których nie mógł zrozumieć.

Nieraz wstawiałem do rozmowy znane mi wyrazy tatarskie: wówczas na obliczu jego rozlewał się wyraz przyjemnego zdziwienia: śmiał się dobrodusznie i niby zachęcał, mrucząc z zadowoleniem:

— *Jakszy! Jakszy!* [1])

— Tyflis dobry żyć — mówił później, kiedy się zgadało o stolicy gruzińskiej: wódka jest, *czachyr* [2]) jest, *mat'szka* [3]) jest...

Gdyśmy przejeżdżali przez wieś sekciarzów rosyjskich, pokazywał mijające nas kobiety i mlaskając językiem oraz spoglądając znacząco na mnie, mówił:

— *Choroszo mat'szka!*

Tak bajdurzył stary figlarz, a ja słuchałem z przyjemnością, chociaż nie rozumiałem i połowy tego, co mówił do mnie.

Ciemność już zapadła, kiedy przebywszy przełęcz, zaczęliśmy wijącą się śród lasów drogą schodzić ku podnóżom Lalwaru. Na stokach gór okolicznych błyszczały w gęstwinie leśnej ogniska koczowników; z bliższych koczowisk dochodziły nas głosy ludzkie, śpiew monotonny i szczekanie psów, odzywających się na tętęt i parskanie naszych wierzchowców, z lasu buchały fale upajających aromatów roślinnych.

Wkrótce Tatar wskazał ręką ogniska, błyszczące hen daleko w dole pod naszemi stopami, podał mi dłoń, którą uścisnąłem, i znikł w gąszczu ciemnym.

I znów zostałem z Elgudżą. Teraz dopiero wśród lasów i czarnej nocy, po odjeździe gadatliwego Tatara, odczułem brak człowieka, którego mógłbym choć jako tako zrozumieć: bo te ogniska, które błyszczały wokoło, a nawet dolatujące nas odgłosy życia ogromnie obcego, jeszcze bardziej wielką moją samotność uwydatniały.

Jechaliśmy w milczeniu; byliśmy zmęczeni, a to nie usposabia do rozmowy; zresztą, ciemność nocy uniemożliwiała naszą gawędę, która, będąc przeważnie poglądową, wymagała współdziałania zmysłu wzroku. Na jednym z zakrętów drogi ujrzeliśmy niespodzianie pod skałą rozpalone ognisko, przy którem leżało dwóch ludzi uzbrojonych. Była to warta, którą pełnią po kolei mieszkańcy okolicznych od czasu napadu na księdza ormiańskiego, przejeżdżającego tą drogą przed kilkunastu dnia-

[1]) Dobrze, dobrze.
[2]) Wino.
[3]) Skrócone „matuszka“; oznacza płłoczną kobietę.

A jednak Mazurzy pruscy są ludźmi przeważnie zamożnymi. Niezależność materyalna daje im pewną siłę, z którą ich „opiekunowie" i „wychowawcy" liczyć się muszą. Czują oni w duchu, że to ogłupienie i zahukanie, do którego zdołali doprowadzić Mazurów, jest stanem przejściowym, że pierwej czy później lud ten musi dojść do uświadomienia, wzbudzić w sobie poczucie godności ludzkiej i plemiennej.

Przed paru tygodniami na posiedzeniu sejmu pruskiego poruszono sprawę, która we właściwem świetle uwydatniła konstytucyonalizm pruski. Jak wiadomo, konstytucya w zasadzie obdarza równouprawnieniem wszystkich obywateli całego państwa. Inaczej atoli sejm pojmuje te zasady i inne drogi wytyka w praktyce. To też W. Ks. Poznańskie dotychczas nie może wykołatać takiego samorządu, jaki od lat kilkudziesięciu nadano wszystkim innym dzielnicom państwa. Wprawdzie konstytucya pozwala każdemu powiatowi załatwiać swoje sprawy wewnętrzne na sejmikach, do których miasta i wsie wysyłają delegatów, w stosunku do sumy podatków płaconych. W Poznańskiem wszakże liczba owych delegatów nie zależy od sumy podatkowej i liczebnego stosunku ludności, lecz jest określona prawem z roku 1828, tj. z czasów nieistniejącej już oddawna konstytucyi stanowej. „Szlachta, osiadła na dobrach „rycerskich," jako stan uprzywilejowany, stanowiła na sejmach przewagę: wszystkie zaś inne osady i miasta miały ograniczone prawo przedstawicielstwa.

Pomimo zaprowadzenia konstytucyi, stosunki takie pozostały dotychczas w W. Ks. Poznańskiem — ze względów czysto politycznych. Nie chciano, ażeby miasta polskie wywierały większy wpływ na sprawy państwowe. Z tego powodu istnieje dotąd taki stosunek reprezentacyi: pow. Gnieźnieński, który liczy 50,000 mieszkańców, wysyła 39 delegatów na sejmiki. Gniezno, liczące 21,000 mieszkańców, ma prawo wysyłać tylko trzech delegatów. Zupełnie to samo dzieje się w innych powiatach. Otóż niedawno posłowie wolnomyślni zażądali, ażeby sejm zrównał W. Ks. Poznańskie w tej mierze z innemi dzielnicami państwa. Tu dopiero przyszło do szczerości. Minister spraw wewnętrznych, von der Recke, przyznał wprawdzie, że obecny stan rzeczy jest całkiem niewłaściwy; ze względów wszakże narodowościowych niepodobna temu zaradzić. Zaznaczył on, że już w r. 1889 zastanawiano się nad sprawą wprowadzenia w W. Ks. Poznańskiem ordynacyi powiatowej całej lub ze zmianami. Ale, niestety, rząd się oparł temu. Przedsięwzięte potem nowe kroki dały również niepocieszające wyniki. Rząd dotychczas jeszcze trwa w tem przekonaniu, że stosunki narodowościowe „chwilowo" nie pozwalają na zmianę ordynacyi powiatowej w W. Ks. Poznańskiem i że w interesie niemczyzny niepodobna wyrzec się silniejszej reprezentacyi właścicieli ziemskich w sejmikach. Jeżeli stosunki się zmienią, to rząd przystanie na usunięcie obecnych niedomagań, dotkliwych dla mas ludności. Ale nawet w najlepszym razie trzeba będzie utrzymać obecny system stanowy.

Wszyscy mówcy konserwatywni podzielili takie zapatrywanie ministra i odesłali wniosek do komisyi, ażeby go ukryć możliwie najgłębiej. Jest to wyborny i wypróbowany sposób „wykręcania się sianem."

Czy w gruncie rzeczy takie „równouprawnienie" Poznańskiego z innemi dzielnicami państwa miałoby dla Niemiec jakieś znaczenie polityczne? — Chyba nie. Położenie nasze pozostałoby bez najmniejszej zmiany, gdyż, jak wiadomo, w wyborach ważną rolę gra system plutokratyczny; tymczasem Polacy w miastach stanowią przeważnie rzeszę ubogich mieszkańców, dla których przeprowadzenie większej liczby swoich kandydatów byłoby rzeczą niemożliwą.

Z wyjaśnień powyższych widzimy, iż znowu stwierdzono, tym razem całkiem otwarcie, że prawa konstytucyjne służą tylko dla narodowości niemieckiej i stanów uprzywilejowanych, że wszyscy inni, o ile nie są lub nie chcą być Niemcami, jeżeli nie ciałem, to przynajmniej całą duszą — raz na zawsze muszą się wyrzec praw „obywateli państwa." W teoryi istnieją dla nich prawa i sądy, ale istnieją także prawodawcy i sędziowie, których zadaniem jest działanie w praktyce wbrew sprawiedliwości i ludzkości.

Jako uzupełnienie obrazu stosunków w tej mierze musimy zaznaczyć fakt następujący: Wydział związku hakatystów we Frankfurcie nad Menem na zebraniu swojem uchwalił, że pomimo art. 4-go konstytucyi pruskiej, według którego wszyscy obywatele pruscy wobec prawa są równi, trzeba ustanawiać przepisy wyjątkowe dla tych poddanych, którzy w domu nie posługują się językiem niemieckim, „jako ojczystym." Prusy są państwem niemieckiem i tylko dla Niemców! — wołają hakatyści na usprawiedliwienie swej uchwały. Jednocześnie wszakże ze smutkiem zaznaczają, że w r. 1898 liczba polskich gospodarstw włościańskich, wzmocnionych pożyczką rentową komisyi generalnej, wzrosła z 2,292 do 2,472, tj. o 178. Taki stan rzeczy bardzo jest niepożądany dla interesów niemieckich na kresach wschodnich. To też hakatyści z przerażeniem wskazują widmo „polityki polskiej" z czasów kanclerza Capriviego. Pogrzebano je 1894 r. Tymczasem odrodziło się ono obecnie i wyrosło w chorej wyobraźni fanatyków niemieckich.

Przerazi ich również zapewne przypomnienie w pismach orzeczenia najwyższego trybunału pruskiego z 11 stycznia 1853 r. treści następującej: „Cudzoziemcy, którzy przed wprowadzeniem w życie ustawy z 13 grudnia 1842 r. zamieszkali za zezwoleniem władz administracyjnych w obrębie monarchii pruskiej, uzyskali przez to obywatelstwo pruskie." Optymiści twierdzą, iż orzeczenie to, przypominane przez jeden z organów prasy berlińskiej, może mieć doniosłe znaczenie dla wielu osób wydalonych pomimo pozyskania praw obywatelstwa pruskiego na zasadzie powyższej.

Związek wszechniemiecki w dziedzinie ekonomicznej ogłosił swoje uchwały, które są tak charakterystyczne, że należy je chociaż pobieżnie zaznaczyć. Przedewszystkiem zżądano zamknięcia wschodniej granicy Niemiec dla przybyszów słowiańskich, gdyż jest to nieodzowny warunek wzmocnienia niemczyzny. Następnie domagano się podwyższenia ceł zbożowych przy zawieraniu traktatów handlowych. Jeżeli słaba własność ziemska nie zdoła przetrzymać następstw zamknięcia granicy, to trzeba będzie te posiadłości wykupić i użyć na kolonizacyę niemiecką. Tym sposobem da się zmniejszyć brak robotnika. Przy zamierzonem udzielaniu środków państwowych na kolonizacyę prywatną trzeba przedewszystkiem stawiać przeszkody kolonizacyi polskiej.

Taki jest program działania w niedalekiej przyszłości. Inne wskazówki i plany polityki prześladowczej są wykonywane w życiu z najskrupulatniejszą ścisłością.

---

mi. Elgudża wylegitymował z łatwością mię i siebie, więc, pokrzepiwszy się świeżą wodą zdrojową, wnet ruszyliśmy dalej.

Pod osłoną lasu było tak ciemno, iż nie widziałem mojego lśniącego śnieżną białością konia: z szerszej drogi zboczyliśmy na wązką ścieżynę, co pięła się stromo pod szczelnem okryciem gałęzi drzew i krzewów, które wciąż uderzały po rękach, nogach i twarzy, zrzucając kapelusz i wypychając nogi ze strzemion. Instynktownie pochylałem głowę, unikając za każdym razem spotkania z gałęzią, której niepodobna było dojrzeć oczami; nieraz kładłem się na szyję konia i w tej pozycyi czas jakiś jechałem.

Pomimo nocy ciemnej rozpoznawałem pojedyncze gatunki drzew: czułem na twarzy i rękach suche dotknięcie żylastej grabiny, twarde i brutalne — dębu, miękkie muskanie puszkiem okrytych delikatnych liści południowej bszczyny. Wyczuwana zmysłem dotyku różnorodność spotykanych po drodze roślin wraz z przerzynającymi czarną przestrzeń owadami świecącymi wnosiła mi nieco ożywienia do otaczającej nas zewsząd ogromnej czarności — martwej i cichej, bo Morfeusz już skrzydła rozpostarł i wszystkich, stałych i czasowych mieszkańców lasu otulił w snu powicia.

A myśmy jechali. Po paru godzinach takiej podróży przewodnik zgubił ścieżynę: było tak ciemno, że on się nawet zbłąkał, choć znał te lasy na wylot: zatrzymał się, więc i mój koń stanął. Wśród ciszy nocnej zaskrzypiały popręgi jego siodła — widocznie stanął w strzemionach, a po chwili usłyszałem, jak zawył głosem donośnym, ogromnie przejmującym. Echo rozniosło po lasach, przerzucając z drzewa na drzewo, ten dźwięk ostry, tak rażący w ciszy nocnej, taki niespodziewany, jakiś nienaturalny — a odpowiedziało mu szczekanie zajadłe psów; tego właśnie chciał Elgudża: to psy z koczowiska, do którego dążyliśmy, a ich głosy dają nam możność oryentowania się co do kierunku, w jakim jechać należy...

Wkrótce też ujrzeliśmy przed sobą słabe światło dogasającego ogniska. Zeskoczyliśmy z koni i prowadząc je za sobą, schodziliśmy ze zbocza góry, stąpając wśród leżących pokotem krów, cieląt i bawołów. Psy poczęły ujadać z jeszcze większą zawziętością, zbudzone ze snu bydło ryczało, rzucając zdziwione spojrzenia wokoło, i konie parskały, a wśród tego chaosu dźwięków, słyszałem głos przewodnika, budzącego swą rodzinę.

Pierwszy zerwał się kilkunastoletni wyrostek i wziął nasze konie, a po chwili wyszła z szałasu kobieta i zaczęła rozdmuchiwać ognisko. Wnet buchnął jasny płomień i wtedy, rozesławszy koło ognia wojłokowe materye, wskazała mi je, abym spoczął.

Ani towarzysza swego, ani jego brata z koczowiska nie zastałem. Elgudża dużo mi coś opowiadał, alem więcej nic nie zrozumiał: nieco rozgniewany, chociaż z drugiej strony też zaciekawiony tem kłopotliwem położeniem, układam się na przygotowanem mi posłaniu i zapatrzony w płonący ogień, łamałem głowę nad tem, co mi mógł mówić Elgudża i dlaczego nie zastałem tu towarzysza? Dopiero później, z dalszych jego objaśnień zdołałem się domyśleć, że kolega mój nocuje w innem koczowisku, o kilka wiorst odległem i położonem na górze, albowiem palcem na niebo wskazywał. Wobec tego zdecydowałem się skwitować z oczekującego tam przyjemnego towarzystwa, gorącej herbaty i wygodnego noclegu na pościeli, ile że dawno minęła już północ, więc chcąc się do tamtego koczowiska dostać, musiałbym noc całą zmarnować. Postanowienie to ogłosiłem przewodnikowi, dając znak, aby rozsiodłano konie.

(D. c. n.)



Obecnie np. znowu się posypały zakazy. Policya z całą zaciekłością prześladuje zebrania i zabawy towarzystw polskich w Prusach zachodnich. Nie pozwala ona na zebrania w lokalach publicznych i prywatnych, w stodołach, wozowniach, kuźniach itd., tłomacząc się obowiązkiem czuwania nad bezpieczeństwem publicznem. Bawić się również nie wolno, gdyż to zakłóca spokój publiczny. Słowem, do ludzi wolnych zastosowano system więzienny.

A oto jeszcze jeden wymowny obrazek. Podczas podróży wizytacyjnej księdza biskupa Stablewskiego komisarz obwodowy w Leknie nałożył 15 marek kary na każdego z włościan, którzy konwojowali arcypasterza przez Wiśniewo. Dziesięciu ukaranych odwołało się do sądów i oto niedawno rozstrzygnięto tę sprawę przed sądem ławniczym w Węgrowcu. Adwokat włościan (nieobecnych na sądzie), Krüger, powołał się na pismo konsystorza gnieźnieńskiego, w którem powiedziano, iż konwojowanie arcybiskupa przez jeźdźców podczas wizytacyi wchodzi w zakres t. zw. *ceremoniale episcopale* i jest oddawna przyjętem. Obrońca dowodził, iż na zasadzie art. 10 ustawy o stowarzyszeniach, banderye konne nie wymagają wogóle pozwolenia policyjnego, a więc i włościanie powyżsi powinni być uwolnieni od kary. Tymczasem zastępca prokuratoryi żądał 15 marek grzywny lub 3 dni więzienia na każdego z włościan, sąd zaś przychylił się do tego wniosku. Przewodniczący trybunału tłomaczył, że nie może tu być mowy o procesyi kościelnej, gdyż na niej nikt nie występuje w „kostiumach teatralnych.“ „Nie ulega wątpliwości, że w Wiśniewie urządzono demonstracyę polityczną, więc dlatego należało się postarać o pozwolenie policyjne.“ Tak mówi wyrok sądu pruskiego. Rezultat można było z góry przewidzieć, gdyż sądy pruskie, dopatrujące wszędzie polityki, rządzą się nie sprawiedliwością, lecz... polityką. Są one organami wykonawczymi wskazówek hakatyzmu. Jeżeli zaś są jeszcze tacy, którzy wierzą w skuteczność odwoływania się do przedstawicieli sprawiedliwości i prawa, niech przypomną sobie świeżą wrzawę, wywołaną w parlamencie, a następnie w sejmie z powodu śmiertelnego skatowania ucznia przez nauczyciela. Sąd uniewinnił zbrodniarza, sejm oczyścił go z wszelkich zarzutów. Tym sposobem pozwolono na uprawianie w dalszym ciągu „metody pedagogicznej,“ stosowanej dotychczas. Jakoż nauczyciele niemieccy nie omieszkali skorzystać z przywileju bezkarności i oto mamy już nowy fakt. We wsi Jeżynach pod Poznaniem nowoustanowiony nauczyciel Niemiec ukarał ucznia w ten sposób, że naderwał mu ucho i nabił sińca pod okiem. Podobno będzie mu wytoczony proces. Nie trzeba jednak być jasnowidzącym, ażeby przewidzieć z góry wyrok, uniewinniający kata-pedagoga.

Na zakończenie garść faktów różnych z życia bieżącego. Dzięki zabiegom naczelnego prezesa W. Ks. Poznańskiego, barona Wilamowitza-Moellendorfa, świeżo zawiązało się w Poznaniu Towarzystwo antigruźlicze. Na posiedzeniu zebrano drogą podpisów 52,000 marek na założenie sanatoryum dla suchotników. Powstanie nowej instytucyi powitać należy z wielką radością i uznaniem. Suchoty śród ubogich warstw ludności poznańskiej czynią zastraszające spustoszenia. Dotychczas jednak nie było żadnych środków zaradczych. Towarzystwo antygruźlicze, jakkolwiek nie usunie złego całkowicie, które tkwi głęboko w urządzeniach bytu, niemniej jednak może rozwinąć z wielkim pożytkiem swoją działalność, przynajmniej około złagodzenia klęski. Oczywiście musi to być instytucya z zakresem społecznym. Na sekretarza Towarzystwa wybrano p. Jarnutowskiego z Poznania, autora broszurki popularnej p. t. „Pogląd na obecny stan zwalczania suchot płucnych.“

Towarzystwo młodych przemysłowców poznańskich obchodziło jubileusz dwudziestopięcioletni. Przez cały czas swego istnienia wydało ono przeszło 27,000 marek na szerzenie oświaty między rzemieślnikami.

Ze stosunków ziemskich na zaznaczenie zasługuje parę faktów: Wieś rycerską Pacanowice pod Pleszewem (w Poznańskiem), obejmującą około 1,300 morgów, nabył od Niemca Polak, p. Maksymilian Markiewicz, właściciel Cichowa. Wogóle Niemcy coraz częściej zaczynają pozbywać się mienia. Sprzedali oni dobra rycerskie Kobylę i Polaszki oraz majątki Augustynki i Uciąż w Prusach Zachodnich. Tym jednak razem nabywcą jest komisya kolonizacyjna.

ef.

Z NIEMIEC.

Berlin, 19 lipca.

Reporterzy grający na innym instrumencie.—Bohaterka niedoli. — Fabryka celujących uczniów. Śmiały profesor.

Spoglądam wokoło i oczom swoim nie wierzę. Ci sami reporterzy, co wczoraj jeszcze z wywieszonym językiem oblatywali Berlin, łaknąc sensacyj i nowinek, co wczoraj jeszcze wspiąwszy się na końce palców, wydobywali ze swej zachrypniętej gardzieli wysokie tony, aby uczcić godnie bogactwo garderoby jakiejś szansonistki, dziś we włosiennicy, z grobową miną na twarzy opowiadają po 5 fenigów od wiersza o nędzy, o wielkiej nędzy, która jak robak toczy życie i szczęście zadowolonego Berlina. A te same panie, dla których „życie jest romansem“ z ciągłą zmianą dekoracyj i obsady ról tytułowych, które wczoraj jeszcze w przyjemnem towarzystwie zjadały u Jostiego tort pomarańczowy ze śmietanką, dziś zwiedzają mansardy i sutereny, aby nakarmić głodnych, leczyć rany i bóle paryasów. Cóż to się stało? Skąd ta maskarada karnawałowa?

Otóż zaszedł wypadek wysoce tragiczny, który wstrząsnął całym Berlinem i chwycił za serce każdego, co w rejwachu życiowym nie postradał wrażliwości na cierpienia ludzkie. Żyła sobie w odległej biednej dzielnicy, gdzieś tam pod dachem, uczciwa kobieta, która w pocie czoła pracowała na utrzymanie czworga dzieci chorowitych i męża pijaka. Rada dobroczynna wyznaczyła jej 12 marek miesięcznego wsparcia — kwotę okropnie małą. Tak biedna pani Entrich, szlachetna męczenniczka, przebyła kawał swej drogi krzyżowej, aż oto pewnego pięknego poranku urząd dobroczynny dowiedziawszy się o tem, iż mąż wyłudza od żony pieniądze, odmówił jej dalszej pomocy. Pani Entrich udaje się do odnośnego urzędnika dobroczynności i błaga go o ratunek. Pan Kosc, sędziwy nauczyciel szkoły miejskiej, każe ją zrzucić ze wszystkich schodów jako natrętną żebraczkę. Pani Entrich ściska jego kolana i, zanosząc się płaczem, prosi, aby jej nie odtrącano, gdyż zginie wraz z czworgiem swych niebożąt. Pan Kosc flegmatycznie, robiąc aluzyę do jej urody, radził wystarać się o jakiegoś bogatego kawalera, a wtedy pozbędzie się odrazu wszelkich kłopotów. Wszak pierwsza lepsza pokojówka z zadartym noskiem, o ile ma gładką twarzyczkę, może zdobyć sobie swemi płciowemi kwalifikacyami powozy, wille i brylanty, tem łatwiej to pójdzie niewieście w wieku kobiet Balzakowskich. Pani Entrich poszła do domu i postanowiła odebrać życie sobie i dzieciom. Na szczęście sąsiedzi zatrwożeni swędem, wydobywającym się z mieszkania nieszczęśliwej kobiety, ratują nieboraków. Pani Entrich idzie do więzienia pod zarzutem dzieciobójstwa. Prokurator ze łzami w oczach opowiada życie tragiczne zbrodniarki, które było jednem nieskończonem pasmem trosk o chleb powszedni. Sala sądowa szlochała, a biedną panią Entrich wstrząsał spazm rozpaczy. Przysięgli uwalniają przestępczynię. Na miejscu sporządza się małą składkę, a nazajutrz ze wszystkich stron napływają datki. ofiarowanie pensyi dożywotnich itp. W prasie powstaje na razie wrzawa: wszak nadmierna hojność wywoła chmarę udanych samobójstw, mających na celu tym fortelem zmiękczyć stwardniałe serca filantropów. Lecz wnet ostrzeżenia te zatonęły w morzu kazań i miłosierdzia: bijąc się w piersi, zapytuje sylf dziennikarski z takiem rozrzewnieniem, jak gdyby tu szło o jakiś czarujący występ artystki: dlaczegośmy nie poszli całować nóg pani Entrich, jakby to był uczynił Chrystus? A dlaczegóż pan dziennikarz milczał, gdy jakiś biedak odebrał sobie przed miesiącem życie dlatego tylko, iż rozbiły mu się okulary, które były mu niezbędne, aby módz utrzymywać siebie i swe troje osieroconych dzieci? Co prawda, nie była to jeszcze pełnia ogórkowego sezonu. A dlaczego, gdy przed kilku miesiącami gruchnęła wiadomość, iż Knut Hamsun umiera z głodu, sylf dziennikarski nie wspomniał o tem nawet w petytowej rubryce kroniki bieżącej, do której przypadkowo zabłąka się wzrok czytelnika, zaprzątniętego sprawozdaniami z wyścigów? Podczas gdy nadobne panie w negliżowych szlafrokach wyciągnięte na kozetkach upajały się boskim „Panem“ i „Misteryami“ Knuta Hamsuna, piewca „Głodu“ chodził w swym nieopalonym lochu z kąta w kąt, dręczony gorączką głodową i kurczami żołądka. Składka urządzona przez kilka dzienników przyniosła ogółem kilkaset marek, co dało powód Altenbergowi, zmanierowanemu bardowi prostoty dziecięcej, do pułnięcia artykułu w *Jugend*, organie artystów monachijskich, gdzie autor, plwając publiczności w oczy, wołał: „Knut Hamsunowi nie trzeba żadnych bogactw ziemskich, albowiem wystarczają mu skarby jego ducha i święte dreszcze jego natchnienia.“ Gdy Detleon Lilieneron, największy ze współczesnych liryków niemieckich, obchodził niedawno swój 25-letni jubileusz, opowiadano sobie jako głośną tajemnicę, iż klepie biedę. Redakcye urządziły składkę publiczną i w ten sposób zebrano znowu kilkaset marek, które przesłano z czułym listem od wdzięcznego społeczeństwa poecie. Gdy zaś zachorowała na oczy słynna „Flammentänzerin,“ tańcząca w płomieniach, gazety wprawdzie nie przywdziały kiru, za to tem żałobniej zawodzili sylfowie, zamieszczający tym razem po 10 fenigów od wiersza sążniste buletyny i rozmowy z jej lokajami. Dziś wstrętne kanalie dziennikarskie z powodu wypadku pani Entrich wylewają ze swych kubełków wodę świętego oburzenia na szpalty gazet. Wspomniany wyżej nauczyciel, pan Kosc, został wystawiony pod pręgierz potępienia. Tłum, skłonny do fetyszyzmu i uosobienia wszelkich klęsk, rzucił się nań pełen wściekłości. Oprócz tego organizuje się cała dziedzina dobroczynności. Wprawdzie trudno zrozumieć, jakim to sposobem usunie się „szablon“ ze sfery miłosierdzia. Dobroczynność ma hojnie rozrzucać datki, uwzględniając indywidualne warunki każdego biedaka, zaglądając do każdego zbiedzonego serca. A gdy nadobne panie wrócą z wilegiatury i wód, rada dobroczynności ma przedsięwziąć generalną wyprawę do suteren i poddaszy. Zobaczymy, jak długo potrwa ten słomiany zapał.

Aby poprawić stan budżetu, ministeryum hesseńskie wpadło na niezmiernie piękny pomysł. Nakazano nauczycielom, aby 60% wychowańców gimnazyalnych miało stopnie celujące. Nieposłuszni pedagogowie zostaną pominięci przy awansach. Życzeniu ministeryum stało się zadość i wkrótce zjeżdżali się do gimnazyów hesseńskich wypędki i rozbitki z całych Niemiec. Wszelakiego rodzaju osły dardanelskie kończyły gimnazyum z odznaczeniem i w ten sposób przedostawały się do uniwersytetu lub też do wojska. Budowano dziesiątkami nowe gimnazya, a szkatuła państewka nabrzmiewała. Rzeczy przyjęły tak skandaliczny obrót, że pruskie ministeryum oświadczyło urzędownie, iż świadectwa i patenty heseńskie tracą w Prusiech swą prawomocność. Pomimo to szwindel szedłby dalej swym trybem, gdyby nie znalazł się w Hesyi mąż zacny i odważny, niejakiś Schiller, słynny na całym świecie pedagog. Do jego seminaryum nauczycielskiego np. zjeżdżano się ze wszystkich krajów. Gdy przedsięwzięto reformę gimnazyalną w Prusiech, cesarz zaprosił Schillera na członka komisyi pedagogicznej. Prawdopodobnie Schiller otrzymałby urząd przy pruskiem ministeryum oświaty, gdyby mu nie podstawili nogi ultramontańscy dworacy za to, iż w swoim czasie spowodował usunięcie jezuitów ze szkół bawarskich. Przekonawszy się, iż wszelkie rady, udzielane hesseńskiemu ministeryum, równają się rzucaniu grochu o ścianę, wyłożył cały skandal szczegółowo w gazecie frankfurckiej, nazywając rzeczy po imieniu. Wieczorem tego samego dnia, kiedy ukazał się pierwszy artykuł, Schiller został uwolniony ze wszystkich posad, a między innemi jako profesor uniwersytetu hesseńskiego. Rektor i dziekani wyjechali do Darmsztadtu, aby protestować w imieniu starych przywilejów uniwersyteckich przeciwko bezprawiu. Tymczasem redaktor urzędowej gazety hesseńskiej zaczął wyrywać sobie włosy z głowy coraz zawzięciej, iż urzędnik ośmielił się prać publicznie brudną bieliznę ukochanej i wielkiej ojczyzny. Ministeryum, wzruszone rozpaczą patryotycznego redaktora, uchwaliło pomścić jego łysą głowę wytoczeniem procesu zdrajcy za wykroczenie przeciwko dyscyplinie i nadużycie władzy.

H. F.

KONGRES KOBIECY.

Londyn, 12 lipca.

Rola kobiety w dziennikarstwie, prawodawstwo fabryczne, stosowanie sztuki do przemysłu, położenie nauczycielek, stanowisko prawne i społeczne kobiety w poszczególnych krajach i państwach, kwestya służby domowej — i cała masa najrozmaitszych innych spraw była poruszana i rozwiązywana przez zamknięty w końcu ubiegłego tygodnia kongres kobiecy. Złośliwi mogą żartować z wszechstronności umysłu niewieściego, który w przeciągu kilku dni mógł załatwić się z całą olbrzymią różnorodnością materyału, tem bardziej, iż do prac kongresu również zaliczyć wypada codzienne „garden parties,“ przyjęcia, dawane przez różne wysoko postawione osoby ku uczczeniu i rozrywce, na których członkowie kongresu stawiali się w liczbie, do jakiej nigdy nie dochodziła cyfra uczestniczek posiedzeń w halli Westminsterskiej. Gdy jednak, pominąwszy szczegóły obrad wieeu, porównamy ogólną jego charakterystykę z podobnemi zebraniami lat poprzednich, to musi nas uderzyć znaczne zmniejszenie się ilości najrozmaitszych „specyalnie kobiecych“ kwestyj na korzyść ogólno-społecznych. Sprawy tego ostatniego rodzaju, zajmujące pokaźne miejsce już na poprzednim, berlińskim kongresie, w tym roku wypełniły więcej niż połowę wszystkich obrad. W jaki sposób były one traktowane— to rzecz inna. Pani Hobson np., w odezwie o „nieopłacanej gospodyni domu,“ wyraziła przekonanie, iż ta ostatnia winna być, w większości wypadków, wynagradzana gotówką przez własnego męża. Jako środek do osiągnięcia podobnego stanu rzeczy proponowała zakładanie specyalnych „trades-unionów“ niewieścich, które bezrobociami itp. dobijałyby się słusznego wynagrodzenia ze strony „głowy domu.“ Fakt jednak pozostaje faktem, iż sprawy ogólno-społecznej wagi zajmują na kongresach kobiecych coraz większą część obrad i z czasem, być może, staną się jedynym ich przedmiotem godnym rozpraw i zachodów.

Jednym z najlepszych i najoczywistszych dowodów, że sprawa niewieścia postępuje wciąż naprzód i że kobieta może zajmować wszelkie stanowiska i urzędy dotychczas zmonopolizowane przez mężczyzn, była obecność na kongresie kobiety-księdza, miss Anny Schow, pochodzącej, ma się rozumieć, ze Stanów Zjednoczonych Ameryki. Ku wielkiemu zbudowaniu i pożytkowi kobiet, a ku większemu jeszcze zgorszeniu anglikańskiego i nieanglikańskiego duchowieństwa, ta młoda i wcale przystojna kapłanka odprawiała nabożeństwa i wygłosiła kazanie, poświęcone rozważaniu obowiązków niewieścich.

Kwestyą praktycznego znaczenia, która wzbudziła wielkie zainteresowanie zarówno pomiędzy uczestnikami obrad, jak i pomiędzy wszystkiemi mniej lub więcej wyzyskiwanemi „paniami domu,“ była sprawa służących. Nietylko w Warszawie, ale również w miastach wszystkich części świata gospodynie skarżą się na trudność znalezienia służących i na wysoką skalę ich wymagań. Stosunkowo niezłe wynagrodzenie i stałe zapotrzebowanie — oba te zjawiska stanowią wyjątkowe warunki w dziedzinie pracy kobiet, mimo to dziewczęta wolą cisnąć się do fabryk i pracować tam za nędzną płacę, niż iść do służby. Panna Black, rozpoczynająca dyskusyę nad tym przedmiotem na jednem z posiedzeń kongresu, twierdziła, iż takiemu stanowi rzeczy zapobiedz można przez fachowe kształcenie i zreorganizowanie zajęć tej służby na modłę fabryczną: trzeba zakładać osobne szkoły, wprowadzić system płacy od godziny, zwyczaj mieszkania po za domem państwa, przychodzenia codzień do obowiązku na pewną tylko, ściśle określoną ilość czasu. Następnie zalecono różne radykalne środki wyplenienia złego; zgodzono się w końcu na jedno tylko, mianowicie, że panie domu potrzebują, nie mniej niż służba, poprzedniego wykształcenia się w sztuce właściwego traktowania bliźnich.

Niezmiernie ciekawem i jedynem w swoim rodzaju źródłem informacyi co do położenia służby domowej jest świeżo ogłoszony urzędowy raport „Departamentu pracy,“ dający wyczerpujące dane statystyczne. Przeszło dwa miliony kobiet, z których 40% liczy mniej niż 20 lat, oddaje się zajęciom tej kategoryi. Przeciętna płaca wynosi w Londynie i większych miastach Szkocyi 170 rb. rocznie, w innych częściach Anglii 150, w Irlandyi — około 120; dla dziewcząt poniżej lat 15 wynagrodzenie roczne spada (w Londynie) do 60 rb. W najgorszem położeniu pod względem płacy i warunków życiowych znajdują się t. zw. „służące do wszystkiego“; tylko 17 na 268 zarabia powyżej 190 rb.; trzeba jednakże dodać, iż do takiej służącej nie należy pranie. W większości domów londyńskich służba ma następujące święta: dwa tygodnie wakacyj latem, jeden wolny dzień co miesiąc, pół dnia każdej niedzieli i wieczór wśród tygodnia. W wielu wypadkach popołudnie niedzielne daje się co dwa tygodnie, a w pozostałe niedziele — wieczór. Letnie dwutygodniowe ferye istnieją przeważnie w domach z kilkorgiem służby; tylko w niewielu służba podczas letniego urlopu dostaje, prócz zwykłej pensyi, pieniądze na stołowanie się. Najgorsze warunki pod każdym względem istnieją w „lodging house ach,“ tj. domach prywatnych, odnajmujących pojedyncze pokoje. Przeciętny czas służby na jednem miejscu wynosi około sześciu lat.

S—ki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Nienawiść różnic.

Gazety opowiadają, że w Krośnie (poznanskiem) dziewczynka znalazłszy kilka tysięcy marek, oddała je ojcu, ubogiemu wyrobnikowi, który złożył pieniądze w policyi. Sąsiedzi i znajomi, dowiedziawszy się o tej jego uczciwości, zaczęli go tak prześladować szyderstwami, że biedak z rozpaczy odebrał sobie życie. Co go popchnęło do samobójstwa: czy niemożność wytrzymania dokuczliwych szyderstw, czy też odraza do życia śród ludzi, którzy za takie czyny karzą — trudno orzec, w każdym razie sam fakt jest bardzo wymowny i pomimo anegdotycznych pozorów niezmiernie prawdopodobny. Tak dalece czuć go charakterystyczną wonią rzeczywistości, że nie można o nim wątpić.

Rozważmy bowiem, czego ludzie najbardziej nienawidzą? Tego, co stanowi główną ich wartość — mianowicie — różnicy. Heine twierdzi, że skoro tylko narodzi się geniusz, natychmiast wszyscy głupcy zawiązują przeciw niemu spisek. A ile było geniuszów — tyle dowodów, popierających to spostrzeżenie. Przypomnijmy sobie jeden ze świeższych i może najbardziej przekonywających. Nie było zapewne w dziejach wielkiego umysłu, któryby swoje wnioski wypowiadał oględniej, któryby swoje siły sądził surowiej, niż Darwin. Po przytoczeniu nieliczniej ilości faktów, stwierdzających jego mniemanie, których dziesiąta część wystarczyłaby najpoważniejszym badaczom do stanowczego orzeczenia, on jeszcze się waha i co najwyżej przechyla się na stronę jakiejś hipotezy. A gdy głosi nowe prawdy, gdy daje wiedzy nowe podwaliny, czyni to z jakąś ojcowską łagodnością, unikając obrazy i lekceważenia kogokolwiek lub czegokolwiek. Nikogo nie łaje, niczemu nie urąga, nieuków mija lub spotyka z grzecznym ukłonem, brednie usuwa z salonową grzecznością, nigdy się nie gniewa, nie obraża, nie złorzeczy, przeciwnie, objawia szczery żal, ile razy musi osłabić lub obalić czyjeś błędne przypuszczenie. Zdawałoby się, że taki człowiek nie powinien budzić przeciwko sobie najmniejszej nienawiści. A jednakże wiemy, jak olbrzymia zawiązała się przeciw niemu konfederacya głupców, jak go sponiewierano, ochłostano złymi językami, spotwarzono i mianowano rodzicem najrozmaitszych zdrożności. Dlaczego? Dlatego tylko, że uosabiał może największą różnicę ludzką w XIX wieku. Pomyślmy, za co wróble rzucają się z namiętną zaciekłością na niewinnego kanarka, gdy on ucieknie z klatki? Przecież ich nie ściga i żadnem niebezpieczeństwem nie grozi. Nie mogą znieść jego odmiennego opierzenia. Coś podobnego widzimy

wówczas, gdy przechodnie rzucają szyderstwa, a dzienniki znieważają kobiety, jadące na rowerach w ubraniu męzkiem. Cóż to szkodzi jednym i drugim, kogo to krzywdzi, czem to skromność obraża, że cyklistka włoży takie samo ubranie, jakiego używają miliony niewiast w innych krajach? Moraliści, którzy przypatrują się z rozkoszą obcisłym trykotom baletnic, nie mogą darować przyzwoitej kobiecie szerokich spodni, które nosi każda Turczynka lub Japonka. Rozumny Anglik poczytuje za występek towarzyski krajanie ryby nożem, a Chińczyk znowu — posługiwanie się widelcem. Jeżeli zaś odstępstwa obyczajowe, drobne odmienności życia powszedniego wywołują zgrozę, to o ileż ona potęgować się musi w wypadkach wielkiej wagi! Najjaskrawszem zaś wcieleniem różnicy jest zawsze geniusz, który z istoty swojej przedstawia najmniejsze podobieństwo do swego otoczenia. Kopernik, rozwijający teoryę obrotu ziemi około słońca, Newton, odkrywający prawa ciążenia, Darwin, stwierdzający przemianę gatunków i dobór naturalny, Shakespeare, stwarzający nową postać dramatu, Mickiewicz, przeprowadzający poezyę na tory romantyczne — wszystkie te potężne duchy odbiły się mocną różnicą od tła swej współczesności, której pierwszym ruchem względem nich był ruch oporu i niechęci. Jaźń nasza składa się nietylko z komórek, tkanek, nerwów, kości, ale także ze wszystkich tych nabytków myślowych i uczuciowych, które gromadzimy przez całe życie. Skutkiem tego wiecznie czujny i wytrwały instynkt samozachowawczy ochrania nietylko naszą stronę biologiczną — komórki tkanki, ale również duchową — nasze przekonania, upodobania, wiedzę, wiarę itd. Jak więc piorun, uderzający w bliskości, pobudza nas do ukrycia się w bezpiecznem miejscu, a przezorniejszych do zakładania konduktorów, tak samo geniusz, który grozi zniszczeniem naszego jestestwa duchowego, skłania nas do obrony i zobojętnienia jego burzących wpływów. Wymagać od ludzi, ażeby oni przyjęli każdego wielkiego człowieka z zachwytem i czcią, jest to żądać, ażeby on lub oni przestali być sobą, ażeby on zmalał, a oni się podwyższyli. Po pewnym czasie rzeczywiście tak się dzieje: potomność dorasta do miary swych mistrzów, oni równają się z nią, i wtedy są przedmiotem jej uwielbień. Właśnie owa często ganiona i wstrętna nienawiść, jaką okazują współcześni geniuszowi, przekonywa, że oni się na nim poznali, że go bezwiednie ocenili, gdyż dostrzegli olbrzymią między sobą a nim różnicę.

Zwykliśmy tym zaszczytnym tytułem mianować tylko nadzwyczajnych artystów, uczonych i wodzów. Tymczasem nie ulega wątpliwości, że istnieją geniusze dobroci. Bo czyż np. nie był jednym z nich ksiądz Baudouin, założyciel naszego przytułku dla podrzutków? Pozbawiony osobistych środków, z kwesty, z żebraniny, z zabiegów, których pomysłowości i trudu dziś nawet zmierzyć nie możemy, stworzył on instytucyę, która przetrwała już 150 lat i długo jeszcze trwać będzie, która ocaliła życie i dała możność znośnego bytu tysiącom biednych dzieci — czyż to nie równa się społecznemu znaczeniu jakiegoś znakomitego poematu lub obrazu? Kto sądzi, że mógłby zostać ks. Baudouinem, gdyby tylko zechciał, temu się zdaje, że mógłby napisać „Pana Tadeusza" lub namalować „Madonnę Sykstyńską," gdyby także zechciał. A tymczasem oba te rodzaje czynów potrzebują względnie równych uzdolnień i trudów. O ile nas nie zaślepia pycha lub nie uwodzi lekkomyślność, nieraz dostrzedz możemy w życiu jednostki, które posiadają talent dobroci i wobec których wyznać musimy, że nawet największe z naszej strony wysiłki, ażeby im dorównać, pozostałyby daremnymi.

Ponieważ dzieło naukowe, obraz, posąg, poemat są przedmiotami widzialnymi, których wartość każdorazowo sprawdzić można, cnota zaś, szlachetny czyn, poświęcenie są objawami nieprzybierającymi trwałej postaci realnej i żyjącymi jedynie w swych przeradzających się skutkach, więc zwykliśmy lekceważyć ich pierwotne źródło, które szybko zanika. A przecież jest to bardzo prawdopodobnem, że ludzkość daleko więcej zawdzięcza bezimiennym geniuszom dobroci, niż imiennym nauki i sztuki. Bez nich sama wiedza i artyzm nie wytworzyłyby nam tej sumy dodatnich pierwiastków życia, którą dziś posiadamy. I jeżeli najszczytniejsze systematy i teorye, za które ich apostołom świat wzniósł pomniki, rozbierzemy z ciała aż do najgłębszego rdzenia, ujrzymy, że go stanowi zwykła, często ośmieszana dobroć. Kiedy najpotężniejsze mądrości i najwspanialsze arcydzieła nie mogły sobie poradzić z powikłanemi zagadnieniami życia, ona je rozwiązywała prosto i doskonale. Tak będzie również zawsze. Nie łudźmy się. Najpoważniejsze trudności w prawidłowem ułożeniu stosunków ludzkich nie dadzą się usunąć ani logiką, ani odkryciami i wynalazkami, ani wogóle kulturą umysłową i artystyczną. Skoro duch ludzki zabłąka się na manowcach życia społecznego, nie wyprowadzi go z nich żadna inna przewodniczka, tylko miłość bliźniego.

Epoka tegoczesna jest okresem zapamiętałej walki o byt. W takiej walce mogą się odzywać wszystkie muzy, prócz tej jednej. Ona też dziś milczy, a zrodzone z niej cnoty są kopciuszkami, skazanymi na poniewierkę tak daleco, że uczciwość ogłoszono bliźniaczą siostrą głupoty. Kto więc w obecnym świecie oszukańczym, zaszachrowanym, pokalanym wszystkimi grzechami samolubstwa, zdobywającym egoistyczne cele bez wyboru środków — pragnie być i jest zacnym, sprawiedliwym, rzetelnym, ten — jak ów wyrobnik w Krośnie — staje się odmieńcem, rażącym otoczenie różnicą swej natury i za to prześladowanym, potępianym, doprowadzanym do samobójstwa. Wszelka doskonałość jest pierwiastkiem rewolucyjnym w stosunku do mierności. Piękna kobieta, ukazawszy się śród brzydkich, wzburza przeciw sobie ich gniewy; podobnież uczciwy człowiek wywołuje wrzenie śród niegodziwców, tem większe, im bardziej zbliża się do miary geniusza miłości bliźniego. On bowiem każdym swym czynem rzuca smugę jarzącego światła w ciemne wnętrze ich sumienia, on im każe widzieć nagromadzone w niem błoto i lęgnące się robactwo, on ich przejmuje samoobrzydzeniem, on im ujawnia ich małość, on wreszcie podważa te spróchniałe podwaliny, na których oparli swoją moralność, spokój, dobrobyt, słowem, całe życie. Więc świadomie i bezwiednie protestują — jak zawsze — przeciwko wielkiej różnicy. Cokolwiek mówią, w istocie krzyczą rozpaczliwie: Jak śmiesz, odszczepieńcze, być odmiennym? Ty nam rozstrajasz harmonię naszego wewnętrznego zadowolenia i harmonię naszych stosunków zewnętrznych! Ty przekreślasz nasze rachunki i układy z sumieniem! Ty z szanownych obywateli czynisz łotrów! Ty plujesz w źródła naszego szczęścia!

Rzeczywiście tak jest. Ale to przekonanie nie powinno nas przejmować zwątpieniem, bo nie ma większej pewności nad tę, że ludzkość albo nie będzie istniała, albo musi stać się uczciwą. Ta wiara, zaprzeczana przez sofistykę lub zagłuszana przez wrzawę złych instynktów, silniej lub słabiej drży w każdem lepszem sercu, prześwieca z każdego szlachetniejszego marzenia, jest nieuniknioną koniecznością rozwoju społecznego. Gdyby ona wygasła w duszach naszych, połowa rodu człowieczego zaczęłaby się jeszcze bardziej zagryzać, a połowa — jak wyrobnik z Krosna pozbawiłaby się sama wstrętnego życia. Tymczasem ludzkość ciągle wierzy i widzi w chmurach teraźniejszości odbity świetlany ideał dobra.

Poseł Prawdy.



HISTORYA.

Ks. Szczerbatow: ***Kampania polska księcia Paskiewicza w 1831 r.*** (przekład z francuskiego). Warszawa. skład główny w księgarni Jana Fiszera, 1899, str. III i 199.

Książka polska pod powyższym tytułem stanowi jeden z rozdziałów czterotomowego dzieła generała księcia Szczerbatowa, wydanego jeszcze w r. 1893 w języku francuskim i obejmującego cały przebieg niezwykłej karyery prostego szlachcica gubernii Pułtawskiej, późniejszego „księcia warszawskiego," jego młodość, udział w wojnach napoleońskich, opis zwycięztw nad Persami, szczególnie pod Erywaniem (skąd tytuł „hrabiego Erywańskiego") itd. Tłomacz polski wybrał z olbrzymiej pracy jedynie część dotyczącą działalności Paskiewicza w r. 1831 w Królestwie Polskiem, gdyż ona tylko, jak się wyraził „przedstawia dla nas niezmiernie wiele interesu, rzuca nowe światło na fakty, ludzi i ich czyny." Rzeczywiście, światła nowego książka zawiera nie mało, jako oparta przeważnie na źródłach niedostępnych dotąd historykom wojny 1830—31, mianowicie na dzienniku działań wojennych spisywanych w sztabie Paskiewicza (wyzyskanym już zresztą w pewnej mierze przez generała Puzyrewskiego), oraz na całkiem dotąd nieznanych listach feldmarszałka do Cesarza Mikołaja I i na listach cesarskich do Paskiewicza, wreszcie na mnóstwie dokumentów, wydobytych z rodzinnego archiwum książąt warszawskich.

Naczelne dowództwo nad armią, działającą przeciwko powstaniu polskiemu Paskiewicz objął dopiero po zgonie feldmarszałka Dybicza, zaszłym z cholery pod Pułtuskiem, w d. 9 czerwca 1831; ale znacznie już wcześniej stanowisko wodza naczelnego w armii rosyjskiej było „wakującem" z powodu żywego niezadowolenia Cesarza Mikołaja z wyniku kunktatorskich planów Dybicza. Niezadowolenie to rosło nietylko po każdej straconej potyczce, ale nawet po każdem powodzeniu wojsk cesarskich, z których to powodzeń Dybicz, zdaniem Monarchy, nigdy korzystać nie umiał, czy może nawet nie chciał. Nagana szła z Petersburga za naganą i dziwić się trzeba krwi zimnej, czy też może wygórowanej miłości własnej hrabiego Zabałkańskiego, że buławy odrazu, a przynajmniej zawczasu nie złożył. W gruncie rzeczy uwagi cesarskie były słuszne, pomimo że wina Dybicza była wyłącznie papierową, kancelaryjną: pochodziła ona z utartego, rutynowego trybu składania sprawozdań i raportów z pola walki. Ukrywano lub zmniejszano niepowodzenia i błędy własne, przeceniano i podnoszono klęski i straty przeciwnika; tym sposobem rezultat oczekiwany w stolicy na mocy faktów, niby to spełnionych, zawodził stale, najregularniej. W bitwie pod Grochowem np. Polacy, według doniesień pierwotnych, tak byli pobici i niemal zmiażdżeni, iż nie dziwnego, że Cesarz, po kilku dniach daremnego oczekiwania na zamknięcie kampanii, najzupełniej zasadnie pisał: „Niepodobna prawie uwierzyć, aby po *takiej* porażce nieprzyjaciel mógł

ocalić swą artyleryę i schronić się do Warszawy, mając jeden tylko most. Można się było spodziewać, że porzuci większą część swych dział i że ujrzymy powtórzenie katastrofy Berezyńskiej. Straciliśmy 8,000 ludzi.. (liczba znacznie później podrosła — dodajmy od siebie) i oprócz straty mniej więcej równej u nieprzyjaciela, nie ma żadnego innego skutku. To bardzo smutne.“

Nie opamiętał się Dybicz nawet wtedy, gdy się dowiedział, że Cesarz, oprócz relacyj urzędowych, otrzymuje specyalne, dla Monarchy tylko przeznaczone, bądź z miejsca wypadków, bądź z Berlina, gdzie bardzo uważnie śledzono przebieg wypadków nad środkową Wisłą. Bił Polaków ciągle i ani razu nie prowadziło to go do niczego. Spostrzegł się nareszcie na niekonsekwencyi systemu doskwierania powstańcom z pomocą atramentu i natychmiast chwycił się taktyki odwrotnej: jął mnożyć siły rokoszu. Nieszczęśliwa przygoda z korpusem Rozena opisana została jako okaz niezwykłej złośliwości Polaków, którzy niespodziewanie i na nieprzewidzianym gruncie zgromadzili nieskończenie więcej wojska, niż miał pod ręką Rozen. „Niech się dzieje wola boża! — odpowiadał na to Cesarz — ale niech mi wolno będzie wyrazić Panu moje zdziwienie i mój żal, że w tej nieszczęśliwej wojnie donosisz mi częściej o klęskach, niż o zwycięztwach, że w 180,000 ludzi nie możemy nic zrobić 80 tysiącom, że nieprzyjaciel wszędzie jest liczniejszy, a przynajmniej równy liczebnie, a my prawie wszędzie słabsi stajemy wobec niego... Nie przesadzaj pan sił nieprzyjacielskich: Suworów umiał bić Polaków z garstką wojska.“

To dało nareszcie feldmarszałkowi do myślenia. Wynalazł trzecią eklektyczną metodę: kazał w raportach lawirować pomiędzy dwoma poprzednimi, sprzecznymi z sobą prądami. Ale i tu się splątał. Zapewniał Cesarza, że potrafi pobić Skrzyneckiego pod samą Pragą (więc na prawym brzegu Wisły) i jednocześnie obszernie się rozwodził nad szansami przeprawienia się na lewy brzeg Wisły. Cesarz odpisał na to: „Nie dostrzegam żadnej jasności w zamierzeniach Pańskich i tracę nadzieję szczęśliwego zakończenia wojny.“ I wtedy to minister wojny, hr. Czernyszew, otrzymał polecenie przesłania Paskiewiczowi rozkazu następującego: „Biorąc pod uwagę okoliczności obecne, tak polityczne jak i wojskowe, Cesarz życzy sobie mieć Waszą Ekscelencyę obok siebie i wzywa Pana, abyś przyśpieszył swój powrót do Petersburga.“ Zdaje się, że z początku wezwanie miało jedynie na widoku obmyślenie i postanowienie stanowczego i ostatecznego planu postępowania. Jakoż niebawem zdecydowano się na myśl, którą później Paskiewicz istotnie wykonał, przeniesienia głównego teatru wojny na prawy brzeg Wisły z przeprawą nie u górnego jej biegu, powyżej Warszawy, jak to niefortunnie próbował Dybicz w początkach kampanii, lecz u jej dolnego biegu, prawo-skrzydłowem obejściem Modlina pod granicą pruską. Dybicz ożywił się nagle po otrzymaniu tak formalnego i kategorycznego wskazania. Ale losy nie przestały go ścigać. Wydało się mu, że przeprawa przez Wisłę w obrębie Królestwa Polskiego, objętego pożarem powstańczym, naraża armię na niebezpieczeństwo, jeśli nie na zgubę niechybną. Budować mosty i przechodzić je na tak szerokiej rzece pod ogniem nieprzyjacielskim — puszczał się na przedsięwzięcia podobne, przyparty koniecznością, Napoleon, ale wtedy tylko, gdy ścisłe określenie miejsca przeprawy mogło być zamaskowane fałszywemi demonstracyami na rozległej przestrzeni, a o rozległości nie mogło być mowy w danym wypadku, na wycinku wiślanym od Modlina do granicy pruskiej. A przytem, po co te nowe mosty? — Jest jeden stały, wyśmienity, doskonale osłonięty działami twierdzy toruńskiej. Przekroczyć tylko trzeba granicę i kęsek ziemi do Prus należącej. Odpowiednio do tej kombinacyi ułożoną przez Dybicza marszrutę, wraz z żądaniem, cokolwiek, być może, po wojskowemu zredagowanem, wysłano do Berlina, na ręce posła rosyjskiego Alopeusa.

Rząd pruski nie żywił dla powstania w Polsce życzliwości większej nad wymaganą przez odwieczną politykę krzyżacką. Byle Słowianie zjadali się sami — i jak najdłużej, o resztę Prusy nie dbały. Nie trzeba więc upatrywać szczególniejszej jakiejś niechęci do Rosyi w gwałtownem oburzeniu, z jakiem nad Sprewą spotkano projekt Dybicza. Pruski minister spraw zagranicznych, ks. Wittgenstein, wyraził Alopeusowi niezmierne zdziwienie z powodu tak niesłychanej, niemożliwej do przypuszczenia propozycyi, król zaś pruski kazał zaraz odpowiedzieć pełnomocnikowi rosyjskiemu, że w danym razie zmuszony będzie zgromadzić 400,000 bagnetów (!) w Ks. Poznańskiem dla zapobieżenia następstwom wkroczenia armii rosyjskiej na jego terytoryum. Wdała się w sprawę dyplomacya, odwołano się do stosunków pokrewieństwa między dwoma domami panującymi i rozdrażnienie — w gruncie swym cokolwiek za sztuczne — uśmierzono. Tymczasem różnokierunkowy i chwiejny charakter operacyj Dybicza nie przestał w dalszym ciągu budzić w Petersburgu zniechęceń, uprzedzeń i nawet obaw poważnych. Zaskoczona znienacka i w odosobnieniu gwardya cesarska uniknęła losu Rozena jedynie dzięki przytomności W. Ks. Michała Pawłowicza i odwrotowi, po szosie tykocińskiej, za Narew, ku Białemustokowi. „Musisz pan przyznać — pisze z tego powodu Cesarz do Dybicza w d. 26 maja — że nie jest to twoją zasługą, iż gwardya nie jest zniszczona przez Polaków, gdyż robiłeś wszystko, co było można, aby ten wyborowy korpus padł obecnie ofiarą... Wątpię, czy kto mógłby pana pojąć.“ To samo jeszcze i po bitwie ostrołęckiej, w której Skrzynecki znowu jakby przejęty duchem strategii Dybicza, rzucał oddzielne korpusy jeden po drugim w paszczę masowego boju, aż dopóki nie stopniały wszystkie po kolei; Cesarz Mikołaj pojąć teraz nie mógł, jakim cudem Polacy „uszli cało“ z pobojowiska. „Wszystkie listy z Warszawy — pisał — donoszą jednozgodnie o zdziwieniu i radości Polaków, że ich pan nie ścigałeś. Teraz będą mieli dość czasu, by wynagrodzić swe straty, oszańcować się, jednem słowem zatrzeć ślad swej klęski“ (13 czerwca). W ogólności, w ciągu całej tej wiosny, Monarsze rosyjskiemu bez przerwy wyrywały się z piersi najgorsze przewidywania i bardzo daleko sięgające niepokoje. „Wszystko to jest niewytłomaczone — utyskiwał na widok nieczynności Dybicza w Siedlcach, po cofnięciu się jego z pod Pragi — i bardzo źle rokuje nam i armii, którą pański brak decyzyi, marsze i kontrmarsze nużą, wyczerpują i męczą; straci ona ufność do swego wodza, gdyż nie widzi żadnych rezultatów swych wysiłeń, prócz nędzy i śmierci.“ Prawda, że i sam głównodowodzący nie skąpił w swych listach zachęty do pesymistycznych i nawet ponurych obrazów. Bo i cóż to np. za wyznanie w ustach wodza armii dwakroć liczniejszej od armii przeciwnika — owo wyznanie z Siedlec (14 kwietnia 1831 r.), że wojska rosyjskie nie są w stanie pokonać powstania polskiego... „W ogólności pewnem jest — dodawał Dybicz — że trzeba jak największych wytężeń, aby złamać powstanie i że należy przeciw pożarowi, obejmującemu nasze prowincye, użyć *wszystkich* naszych sił wojskowych, a nawet *narodowych* Rosyi.“ Interwencya zarazy, grasującej ze szczególnem natężeniem w armii, powaliwszy Dybicza, przyspieszyła ogłoszenie gotowej już nominacyi Paskiewicza. Odtąd ton korespondencyi Cesarskiej zmienia się radykalnie. Monarcha bezwarunkowo pochwala wszystkie kroki nowego wodza, pobłażliwie patrzy na najdłuższe zwłoki i mitręgi, które go tak niecierpliwiły przedtem.

O zdolnościach nowego głównodowodzącego obiegały rozmaite zdania. Dowody czerpane z wojny perskiej nie były dla wielu przekonywające. Co innego Azya, co innego Europa — powiadano. W akademii głównego sztabu w Petersburgu przechowuje się dotąd obszerny zbiór notat i dokumentów hr. Tolla, naczelnika głównego sztabu Paskiewicza w r. 1831, w których późniejszy Książę Warszawski przedstawiony został w świetle nader ujemnem, zniesławiającem. Książę Szczerbatów polemizuje z temi oskarżoniami na podstawie aksyomatu, że fakty spełnione przemawiają głośniej, niż najsubtelniejsze rozumowania.

(D. n.).

Rajczyc.

LITERATURA I SZTUKA.

„LEGENDY STRINDBERGA.

**

Romantyzm zmartwychwstaje z swojem uwielbieniem wieków średnich, z kultem tajemniczości i ekstazy mistycznej, wreszcie z ascetyzmem i wizyami.. Huyssmans, Strindberg, Hansonowie — niedowiarki i zwodziciele, czynią skruchę publiczną lub pielęgnują myśl jej dokonania, wstępują do trapistów, kumają się z okultystami najbardziej przesadnymi i niekrytycznymi. Romantyzm! Dzisiejsze pokolenie „romantyków“ odznacza się niepomierną szczerością, obnaża bez skrupułu wszelkie brudy swego życia i duszy, nie upiększa swojej przeszłości i syto rozkoszy ucieka pod skrzydła mistycyzmu. W swojej skrusze jest ono niezmiernie naturalistyczne. Huyssmans lub Strindberg, pomimo obecnego miotania się przeciw Zoli, pozostali w swej spowiedzi naśladowcami jego sposobu patrzenia na rzeczy i opisywania splotu stosunków życiowych. Szczerze malują oni przeszłe dni swego żywota i pokusy teraźniejsze, nie jak romantycy, dla których nawet najzupełniejsza rozpusta była przybrana w kwiaty poezyi i ideologii. Otwartość dzisiejszego pokolenia marnotrawnych synów, którzy po latach długiego błąkania się na manowcach rozwiązłości i nadużycia wracają, chcąc zostać „czystymi,“ pozwala nam poniekąd zrozumieć psychologię rzeczywistych romantyków. To był i jest „neurantyzm“ najczystszej wody, jak ktoś świeżo wyraził się.

Nie będę zastanawiał się nad psychologią całej grupy, o której wspomniałem. Poprzestanę na Strindbergu, na tym, bądź co bądź, olbrzymie literatury nowoczesnej, naiwnym i szczerym jak dziecko, chociaż z instynktami nie-dziecka. Posiada on ogromną wyższość nad innymi — prawdomówność. Gdy biczuje siebie, możemy być pewni, że nie czyni tego tylko dla popularności; jeśli opowiada brudy swego życia, to znowu możemy mu ufać, iż mówi rzetelną prawdą, i znowu nie po to, ażeby gapie podziwiali go i dawali mu poklask lub mu złorzeczyli. Słowem, nie jest to pospolity Gigerl literacki, przybierający miny i czyniący giesta sataniczne, jak umalowany i przebrany aktor na scenie. Szczera, głęboka natura, rozklekotana przez wypadki życia, nierozumiejąca ni-

kogo prócz siebie samej, ani innych stanów krom własnych. Dusza niezmiernie subjektywna, widząca w sobie klucz do każdej innej, sprowadzająca każdy czyn świata zewnętrznego do swojej osoby, pospiesznie uogólniająca na podstawie przypadku wyłącznie indywidualnego sprawy życia i jaźni, a przytem skłonna to czynić w kierunku pesymistycznym, podejrzliwa do przesady, a zawsze podejrzewająca coś przeciw sobie. Dodajmy do tego obszerne wykształcenie, czerpiące swój materyał z ostatnich wyników wiedzy, ale nieugruntowane metodologicznie, tak iż nieustająca zmienność teoryj rodzi pewien chaos i sceptycyzm chorobliwy, zwłaszcza zaś przesiąknięcie realizmem społecznym darwinizmu i walki o byt, oraz etyką „blondynowej bestyi“ Nietzschego, co w związku z wrodzonymi przymiotami charakteru musiało przeciwstawić Strindberga przesądom i powagom przeszłości, a jednocześnie wszystkim humanitarnym dążeniom chwili tegoczesnej. Trzymały go przy zdrowiu społecznem jego własne uczucia, ale doznał ciężkiego zawodu, czego świadectwo złożył w „Spowiedzi idyoty,“ może jednem z najposępniejszych dzieł naszych czasów. Po wielu latach porywów ku wiedzy, uczuciu, spokojowi nastąpiło zupełne bankructwo moralne i fizyczne oraz rozstrojone nerwy — może nieco w rodzaju manii prześladowczej, zwątpienia o wszystkiem i wszystkich, podcinające ostatnie nitki, wiążące go z ludźmi. Mimowoli przypomina się nam to, co powieściopisarz szwedzki wyrzekł o jednym ze swoich przyjaciół. „Przyznaje, że jest najzupełniejszym bankrutem w całem życiu, w nic nie wierzy i nie ufa ludziom, pozbawiony zmysłów, które umożliwiają nam rozkoszować się i cierpieć, obojętny na wszystko. Rozpoczął drogę życia swego jako entuzyasta, walczący za wolność indywidualną, za swobodę ludu i kobiety, a wyniki tych dążeń rozbiły zupełnie jego marzenia. On, który pragnął urzeczywistnić ideał wolnej kobiety, musiał widzieć, jak jego narzeczona, przezeń bardzo poważana, skończyła jako literacka kochanka każdego mężczyzny, coś w rodzaju nierządnicy cyganeryi artystycznej.“ Ale ażeby należycie pojąć ducha, który ożywiał tych szermierzy swobodnej indywidualności i wolnej kobiety lub wolnego ludu, winniśmy jeszcze uprzytomnić sobie pewne teoretyczne zasady ich życia. „Odrzucam moralność, jeśli mogę stać się wielkim talentem, powszechnie podziwianym! Moralność jest niczem, inteligencya wszystkiem. Złe i dobre--są to rzeczy obojętne!“ Słowem pokolenie „uczniów“ Bourgeta, przekonane, iż wszystko mu wolno, mówiące o ludzie, nie dlatego, ażeby życzyć mu szczęścia, ale z nienawiści do ucisku — pokolenie wolne od obowiązków i instynktów społecznych, a jednocześnie zapatrzone nieraz we wszystkie przesądy drobnomieszczańskiego savoir-vivre'u i przyzwoitości, którą... ciągle obraża.

Oto Strindberg, a z nim wielu innych!

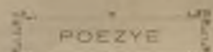
W szeregu utworów roztacza on przed naszem okiem kolejne dzieje swego życia, które skończyć się musiało na zupełnem rozbiciu nerwowem i duchowem. „Przeszłość idyoty,“ „Spowiedź durnia,“ „Inferno,“ wreszcie „Legendy“ — cóż to za cykl ciekawy i pouczający! Wyłącznie walka tylko o prawa swojej osobistości — stosunek z kobietą, może dobrą i pod wielu względami sympatyczną, ale z instynktami zgoła niemonogamicznymi, a przytem pozbawioną poczucia uczciwości, które by ją zmusiło do powiedzenia: daję tobie tylko cząstkę siebie, lecz kłamiącą i oszukującą systematycznie; wreszcie odłączenie się od społeczeństwa, żywot paryasa, pozbawiony i przyjaciół i ciepła duchowego a nawet zaspokojenia ambicyi, w końcu zupełna pustka i chęć samobójstwa, z którego człowieka ratuje mistycyzm! „Legendy,“ właśnie są poświęcone temu ostatniemu przedmiotowi.

Małe, uniwersyteckie miasteczko w Szwecyi, Lund. Strindberg, wyklęty przez rodaków, bez pieniędzy i wogóle środków bytu, żyje wśród młodzieży, którą pogardza za jej entuzyazm, przestając z paru przyjaciołmi, podobnymi do niego rozbitkami. Miewa pukania w pokoju nad głową, bezsenności, bicia serca, strachy, lecz wszystko to przypisuje opętaniu, bo jest cały przejęty Swedenborgiem i jego teoryami. Jest on samotny, jak deska z zatopionego okrętu, unoszona przez fale oceanu. Całe otoczenie również słyszy pukania, miewa halucynacye trupów i woni rozkładającego się ciała, wizye telepatyczne itd. Co to ma oznaczać? Czy nie jest to ocknięcie się wiedzy — ażeby wejrzeć w siebie i poprawić się, rozpocząć powszechną skruchę! Dla Strindberga nie ma żadnej wątpliwości pod tym względem Dyabeł wlazł w mózgi ludzkie, opętał je, męczy ducha i ciało — zesłany przez Opatrzność, ażeby zmusił grzeszników do zastanowienia się. „Ta angina pectoris, bezsenności, wszystkie nocne szkaradzieństwa, przejmujące zmysły strachem, a zamieszczane przez lekarzy w rubryce epidemii, wszystko to jest dziełem niewidzialnych potęg. Czy można to objaśnić jako epidemię, jeśli ktoś systematycznie bywa ścigany osobliwemi zdarzeniami, niespokojem i poczuciem wstrętu! Epidemia zbiegających się zdarzeń! Niedorzeczność!“ A zatem gdy przyjaciel udaje się na wycieczkę, nie zastaje nikogo ze znajomych, w ciągu paru tygodni spędza czas najnudniej, prześladowany przez wrzawę w hotelach, a wreszcie napotyka jakiegoś młodzieńca, wyznacza mu schadzkę w restauracyi, w której spostrzega go ktoś ze znajomych i z przekąsem daje do zrozumienia, iż jest to młodzieniec jak najgorszej konduity. Wszystko to jest dziełem niewidzialnych potęg! Jeśli kogoś dręczą niemiłe odory, nie może sypiać w porze nocnej to także dzieło tych samych rąk. I cóż na to począć, ażeby nie iść do Kanossy, nie zwrócić się do Swedenborga i innych mistyków, którzy właśnie opisują takie same udręczenia i takie same bezsenności, bicia serca i wizye, jako zwiastuny nawrócenia? „Położenie rozpaczliwe. My wszyscy oddani w ręce Księcia świata i w pył obróceni i poniżeni, ażebyśmy sami sobie obrzydli i napełnili się tęsknotą ku niebu! Pogarda dla siebie, odraza dla własnej osobistości, odzyskanie swojej indywidualności na drodze wysiłków poprawy — oto ścieżka ku wyższemu istnieniu!“

W tem znużeniu Strindberg kończy swoje „Inferno“ i myśli o ruszeniu w świat, bo gotówka zabrzęczała w kieszeni. Ale dokąd? Trzeba czekać znaku! Zuczek wiosenny usiadł na ręku jego, poczem zerwał się i odleciał. A — na południe. A zatem na południe! Niepewny otwiera okno, ujrzał ptaka. I ten porywa się i leci ku południowi! A więc do Paryża!

Tu zdrowie pogarsza się z dniem każdym. Gdy Strindberg wyjdzie na ulicę, bruk kołysze się wraz z nim, żadnej chęci do jadła, bicie serca, w nocy tajemnicze stukania. Poczucie zupełnej samotności, ciało i dusza domagają się jakiegoś ciepła i opieki matczynej. Niema do kogo słowa przemówić, a koty i psy podczas obiadu w restauracyi to jedyne żywe stworzenia, przysuwające się bliżej. Strindberg ich nienawidzi, ale przyjmuje zrządzenie losu, jako dowód kary ze strony niewidzialnej ręki. Wszędzie widzi mnóstwo prognostyków: bo każde zdarzenie, najmniejsza nieprzyjemność lub przyjemność, wszystko się to dzieje tylko po to, iż głos niewidzialny pragnie na coś zwrócić uwagę analityka. Nawet ptak nadaremnie nie zaświegoce, lecz z pewnym celem, który ma na widoku jego osobistość. Pragnie czytać w bibliotece swedenborzystów paryskich. Razu jednego nie zastaje bibliotekarza i dowiaduje się, iż ten bywa w godzinach, które są dla Strindberga niedogodne, bo wtedy on analizuje siebie. To znowu przytrafił mu się inny przypadek, wreszcie mistyk bierze dorożkę, ażeby pojechać i przezwyciężyć wszystkie trudności. Gdzie tam! Brukują ulicę. Niewidzialne potęgi widocznie nie chcą, ażeby przestąpił próg biblioteki. Strindberg dziwi się temu, ale naturalnie ulega przeznaczeniu. Po pewnym czasie przyjeżdża przyjaciel, Amerykanin. Dobrze im z sobą, Strindberg wybiera się do niego z wizytą na bardzo wysokie piętro, czwarte, a może piąte i szóste. Naturalnie męczy się, dostaje bicia serca, zwłaszcza iż schody są wązkie. Co to ma znaczyć, czy przerwać znajomość? Ostateczny wniosek: nie powinien tam bywać, chociaż przyjaciela może przyjmować u siebie i przesiadywać z nim w kawiarniach. Obaj łaknąc towarzystwa ludzkiego, w jednej z nocnych kawiarni najmują dziewczyny uliczne, ale z warunkiem, iż będą zachowywały się przyzwoicie i prócz rozmowy nie będą miały dalszych roszczeń. Strindberg zadaje sobie pytanie, co powiedzieliby o nim ziomkowie, dowiedziawszy się, iż przebywa w takiem najemnem towarzystwie—i wygłasza długą odpowiedź: „Wyrzuciliście mnie ze swego społeczeństwa, skazaliście na samotność, jestem zmuszony kupować sobie towarzystwo ludzi - paryasów, tak samo jak ja odepchniętych i tak samo zgłodniałych. Moja jedyna uciecha polega na tem, ażeby zobaczyć te stworzenia szczebioczące, jedzące i pijące, posłyszeć ich głos, który przecież jest głosem kobiety. I nie płacę im za to nawet morałami!“ Przedewszystkiem dużo analizuje mistycznie i rozmyśla. Nie braknie nawet drogi krzyżowej. Strindberg odbywa ją w ogrodzie luksemburskiem, w obecności widziadła, które bierze za zesłańca potęg niewidzalnych i przed którem czyni spowiedź swego życia, usprawiedliwiając się ze swych czynów. Ma halucynacyę. Oto zbliża się ku niemu świetlana kula, ze skrzydłami po bokach: rozszerza się, ona i zamienia na olbrzymi spis grzechów analityka. „W ciągu sekundy staje przede mną całe moje ubiegłe życie, jako mikrograficzne odtworzenie na niezmiernie wielkim plakacie. Wszystko tam się znajduje. Wszystkie szkaradzieństwa, wszystkie najtajniejsze przewinienia, najwstrętniejsze sceny, w których odgrywałem główną rolę... Och gdybym mógł umrzeć ze wstydu w chwili, w której ujrzałem te obrazy! Ale nie umieram. Przeciwnie, w ciągu minuty, tak długiej, jak czterdzieści osiem lat mego życia, widzę przed sobą na nowo całe życie moje od dzieciństwa po dzień dzisiejszy. Martwieję do szpiku kości, krew stygnie, pożerany ogniem wyrzutów sumienia rzucam się na ziemię z okrzykiem: litości, litości!“ *).

K. R. Z.



SONETY.

Sam.

Sam jestem, choć wiem, że w jedną godzinę
Dusze mi drogie może równocześnie
Wyszepcą cicho moje imię we śnie —
Bo wiem, że, jak sen, nie budząc ich, minę...

*) Jeśli to wszystko nie jest udane, to autorowi rzeczywiście należy się dobrze urządzony dom zdrowia i troskliwa w nim opieka. *Red.*

Sam jestem, choć mam ogromną rodzinę
Nędzarzy, wiatrem kołysanych wcześnie.
Ten wiatr mię chował tak dziko i leśnie,
Że pieśnią za nim polecę i zginę...

Może, gdy wicher lasy rozkołysze,
Przy szumie jodeł i smereków chrzęście
Napotkam nigdy niewidziane — szczęście...

A może kędyś zawędruję w ciszę;
W kraj, którym jeszcze śnił dzieckiem malut-
I tam zostanę sam ze swoim smutkiem. [kiem,

W nocy.

Świt niedaleko — a miasto uśpione.
Martwość i bezruch.. Oddechy niczyje
Nie mącą ciszy... I zegar nie bije —
Godziny płyną długie, nieskończone...

Lękliwe Nędze, w zaułki wtulone,
Mrokiem swe chude owijają szyje.
Widzę... Niedola pod murem się kryje
I w dłonie chowa oczy załzawione.

Ból się przyczaił, przyczołgał po ziemi
Pod moje okno — i, jak ludzie niemi,
Nic nie rzekł—spojrzał tylko okiem szklannem...

I w oku, które już płakać nie może,
Dojrzałem wielkie, nieskończone morze
Łez... Miasto życiem budziło się rannem.

Władysław Orkan.

SPRAWY EKONOMICZNE

ROBOTNICY WĘDROWNI W ROLNICTWIE.

I.

Po tych wszystkich wyjaśnieniach dopiero możemy scharakteryzować obecne położenie sprawy robotniczo-rolnej w dzielnicach, o których mowa: 1) Istnieją czynniki psychiczne, prawno-społeczne i czysto ekonomiczne, które skłaniają ludność roboczą we wschodnich prowincyach państwa pruskiego do szukania zarobków po za obrębem gospodarstw wiejskich miejscowych; 2 dotychczasowa forma najmu przeżyła się: 3) czysto kapitalistyczna jego postać leży w interesie właścicieli ziemskich, lecz płaca robocza pozostaje pomimo to nizką.

Skoro zaś tak jest, skoro stosunek pomiędzy przedsiębiorcą-rolnikiem a najmitą stał się czysto kapitalistycznym, decydującym czynnikiem tego stosunku jest i być musi miara płacy najemnej. Ta płaca zaś jest wysoką na zachodzie, nizką na wschodzie i dlatego widzimy w Wielkopolsce i na Szląsku najmitów z Galicyi i Królestwa, miejscowa zaś ludność ciągnie do Saksonii.

Trzeba bowiem pamiętać, że te zmiany w uprawie, jakie zachodzą dziś w Księstwie i na Szląsku, zmuszając ziemian tamtejszych do sprowadzania całymi tysiącami robotników na czas uprawy buraków i żniwa, zaszły prędzej nieco w okręgach rolniczych Niemiec środkowych — w królestwie Saskiem, prowincyi Saskiej, Anhalcie, Hanowerze itd. W tych dzielnicach gospodarka rolna jest ogromnie intensywną, uprawa buraków doszła do maksimum, a nawet, jak twierdzą niektórzy agronomowie, zbyt przekroczyła najwyższą granicę. W samej np. prowincyi Saskiej, mniejszej znacznie od Księstwa (1,732,200 hektarów ziemi uprawnej, w Księstwie 2,088,000) jest 119 cukrowni, które przerabiają 3,982,000 ton buraków (w Księstwie 18 cukrowni przerabia 1,294,000 ton). Przytem uprawa zboża jest tu nader staranną, pszenicę pielą wszędzie, ziemniaki okopują trzy razy itd.. maszyny rolnicze są w powszechnem użyciu. Potrzeba więc ogromnej ilości robocizny. Tymczasem utrzymywanie robotników na ordynaryi zostało w tych krajach dawno zaniechane, z powodu właśnie intensywnej uprawy; tej zaś kategoryi robotniczej, jaką przedstawiają komornicy, nigdy tu nie znano. Co do wolnych najmitów, mogli oni rekrutować się jedynie z właścicieli drobnych działek, których tu jest sporo. Jednakże wobec ogromnego rozwoju przemysłu w tych dzielnicach i rozpowszechnienia przemysłu domowego (pończosznictwo, wyrób kwiatów sztucznych itd.), młodzież zaniechała pracy rolnej, a przytem właściciel małej parceli uprawia ją tam również intensywnie (rozwinięte gospodarstwo nabiałowe i warzywne) i dlatego nie stawi się do roboty wtedy właśnie, kiedy zapotrzebowanie jest największe. Sprowadzano tedy całe partye Wielkopolan i Szlązaków, a gdy tych nie stało — Galicyan i Mazurów pruskich, w ostatnich zaś latach ściągają również całe gromady z Galicyi i z Królestwa. Zdarzało mi się spotykać wiosną na kolejach parobczaków i dziewki z pod Częstochowy, Kalisza i Włocławka, jadących „na Saksy“ — jak się wyrażali.

Nie rozkosze czekają ich na ziemi saskiej. Praca jest ciężka na żyznej glebie, a wymagania gospodarcze niemałe; pomieszczenie w koszarach, specyalnie zbudowanych w majątkach, sprowadzających stale robotników wędrownych, nęcić nie może; żywność — o ile jej dostarcza dwór, też nie jest zbyt obfita W monografii w obieżysasach Kaergera *), znajdujemy spis żywności dla 30 ludzi w ciągu tygodnia. Użyto w funtach: 10 ryżu, 10 krup, 7,5 grochu, 5 mąki, 1 kawy, 5 okrasy, 450 ziemniaków, 20 mięsa. wydatek na tę żywność wynosi 36 marek, a więc na osobę wydatkowano 1,2 marki, czyli dziennie 20 fenigów. W innym majątku wydatkowano nawet jeszcze mniej, bo 75 fenigów tygodniowo na osobę. Zwykle wszakże obieżysasi żywią się na swój koszt, otrzymując od dworu tylko ziemniaki. Jak widzimy, o ucztach nie ma tu mowy i gdyby rzeczywiście na Szląsku dwór dawał codziennie strawę mięsną i trzy razy tygodniowo pieczeń z kompotem, jak żartował sobie w sejmie członek bogobojnej partyi, to zapewne Szlązacy nie wędrowaliby do Saksonii na „wasserzupkę.“ Jeden z lekarzy powiatowych, Schilling, niedawno w czasopiśmie „Zeitschrift für Medizinalbeamte,“ pisząc o obieżysasach, dziwił się, jak ci ludzie przy tak nędznem odżywianiu się mogą pracować. Stwierdził on również, że położenie ich w razie choroby jest opłakane. a stan zdrowotny wogóle — przerażająco zły. A więc tylko względnie wysoki zarobek skłania tych ludzi do wędrówki. Świetnym on nie jest, gdyż na dniówkę płacą obieżysasom 1,5 do 1,8 marki mężczyznom, 1,5 marki kobietom. Wyższe są płace akordowe, które głównie wchodzą w rachubę: kosiarze zarabiają 3,5 do 4 marek, dziewki przy wiązaniu zboża 1,70 do 2,35 marek, przy okopywaniu dziewki zarabiają 2 marki, przy sprzęcie buraków mężczyźni 2—2,5 marek, dziewki 1,80 do 2 marek. W dobrych warunkach za cały czas kampanii—około 38 tygodni—mężczyzna zarobi do 600 marek, dziewczyna do 450, zaoszczędzić z tego mogą, jak mi opowiadali, 150 do 200 marek (mężczyźni więcej zarabiają, ale też wydają więcej). Że oszczędność tę robią — nie ulega kwestyi, świadczą o tem znaczne sumy, jakie wysyłają pocztą do domu. Jeden ze sprawozdawców wspomnianej ankiety twierdzi, że w roku 1891 w prowincyi saskiej wysłali obieżysasi na Szląsk 11 milionów marek.

Te więc wyższe, niż w kraju, zarobek, możność zaoszczędzenia półtorasta marek — oto pobudki, skłaniające Wielkopolan i Szlązaków do wędrówki na zachód, pomimo że ich sąsiedzi, właściciele ziemscy, skarżą się na brak robotników. Niejaki wpływ wywiera też, być może, fakt, że na Zachodzie nauczyli się właściciele ziemscy i ich oficyaliści szanować choć cokolwiek godność ludzką, co nie da się powiedzieć ogólnie o pracodawcach polskich *).

Nie ulega wątpliwości, że te same powody, które skłaniają Wielkopolan do wędrówki „na Saksy,“ zmuszają parobczaków i dziewki z Królestwa do szukania zarobku w Księstwie, pomimo braku i u nas sił roboczych. Różnica zachodzi o tyle, że z Królestwa wędruje prawdopodobnie najwięcej dzieci włościan małorolnych, z Księstwa zaś wychodzą przeważnie bezrolni. Co do Galicyan, to wobec strasznej nędzy tamtejszych włościan, którzy na miejscu znaleźć zarobków wogóle nie mogą, nie trzeba żadnych wyjaśnień.

Jak zaznaczyliśmy, w prowincyach wschodnich państwa pruskiego brak sił roboczych przybrał zatrważające rozmiary. Zaostrzenie tej kwestyi tłomaczy się prosto: 1) Coraz więcej gospodarstw drobnych przechodzi do systemu uprawy intensywnej przy pomocy robotników wędrownych, pozbywając się ordynaryuszów i komorników, 2) od roku 1894 nastał po długim zastoju przemysłowym okres świetnych widoków. Wzrósł więc szybko popyt na pracę i ogromna ilość młodzieży wiejskiej została zawerbowaną do fabryk, a przytem część „obieżysasów“ zapewne także zaciągnęła się do robót budowlanych i ziemnych (w Saksonii mnóstwo robotników i robotnic polskich widywałem w roku ubiegłym przy budowlach i przy sypaniu plantów kolejowych).

* *

Mamy przed sobą proces ogromnej wagi społecznej, już nietylko ze względu na kwestyę uprawy roli, lecz również ze względu na wytworzenie się szczególnej kategoryi robotników wędrownych. Widzimy tu powstawanie nowej formy najmu, która powoduje, że setki tysięcy ludzi zaczynają pędzić żywot koczowniczy. Stutysięczna ich fala wylewa się na Zachód wiosną i powraca późną jesienią na leże zimowe. Z początku wychodził z Księstwa i Szląska tylko nadmiar ludności, teraz widzimy, że tu już prąd ten wytworzył pewną próżnię, którą zapełniają emigranci z Królestwa. Lecz tu również powstaje brak robotników, z powodu intensywniejszej uprawy i rozwoju przemysłu, więc wkrótce zobaczymy nietylko górali najmowanych do kośby — co i teraz się zda-

*) „Die Sachsengängerei.“ Berlin 1890. Monografia ta daje wiele cennego materyału, który wszakże dziś jest już przestarzałym, w wielu zaś punktach, np. co do porównania płac na zachodzie i wschodzie, nie zupełnie wiernie zdaje się malować położenie.

*) Przebywając w Saksonii, miewałem sposobność rozmawiać z obieżysasami: niejednokrotnie kładli nacisk na tę stronę kwestyi. Pewna rodaczka z pod Włocławka np. oświadczyła mi: „Niemce niezłe som, nie pomstają, nie wydziwiają nad człowiekiem, jak nasz dziedzic, na ten przykład.“ „A kto wasz dziedzic?“ Wymieniła nazwisko niemieckie. „To wszak taki sam Niemiec!“ Ni! Te Niemce u nas to gorse od swoich, a tutejse ni. „Recht mo — przywtórzył parobek z Księstwa — tutejsze, to całkiem inne,“ i na poparcie swego zdania przytaczał, że „robić każą bo każą. ale zapłata regularna jest, godziny nie czekasz; co do dydka zapłacą.“ I posypały się skargi na domowe stosuneczki, gdzie to czekać trzeba na ciężko zapracowany grosz tygodniami. Nauczyłem się wiele z tej rozmowy, może i kto inny wyciągnie wnioski odpowiednie.

rza — lecz całe partye robotników wędrownych, sprowadzanych do uprawy buraków z Galicyi, z Litwy, z Białorusi.

Czem jednakże skończy się ten proces? Można powiedzieć, że kiedyś, za jakie 20—30 lat, płaca robocza na wschodzie dorówna zachodniej i ów stan nienormalny zakończy się. Byłby to przebieg prosty i pożądany. Istnieje wszakże obawa, że on weźmie gorszy obrót. Jak wykazaliśmy, przemożny wpływ na wędrówki robotników wywiera uprawa buraków i kartofli. Czy ta gospodarka ma przyszłość zapewnioną? Obecnie produkcya cukru i spirytusu Niemiec trzyma się jedynie dzięki systemowi protekcyjnemu, dzięki premiom wywozowym. Najgłówniejszymi zaś rynkami wywozu są Stany Zjednoczone i Anglia. Otóż w Stanach Zjednoczonych od lat kilku, kiedy dochody z ferm zbożowych obniżyły się, poczęto zwracać się również do uprawy buraków i jeżeli ona się przyjmie, popyt na cukier europejski może zniknąć. Przy zasobności w kapitał, żyznej glebie, szerokiem zastosowaniu maszyn i energii fermerów amerykańskich należy się spodziewać, że się przyjmie. Prócz tego: zarówno Kuba, jak Filipiny nadają się doskonale do uprawy trzciny cukrowej, koszta zaś produkcyi cukru trzcinowego są znacznie niższe od burakowego. Dotąd produkcya ta nie rozwijała się należycie, wskutek haniebnej gospodarki fiskalnej Hiszpanów; teraz kiedy wojna kres jej położyła, można liczyć na napływ kapitału i ogromne powiększenie wytwórczości, a wtedy cukier trzcinowy na rynku angielskim wyprze buraczany. Będzie to katastrofa dla rolnictwa europejskiego równie dotkliwa, jak konkurencya zbożowa Ameryki, tem dotkliwsza, że jak dotąd intensywne gospodarstwo rolne jest prawie nieodłączne od uprawy buraków i jak dotąd znamy jeden tylko inny sposób takiej gospodarki, mianowicie angielski, polegający przedewszystkiem na uprawie roślin pastewnych i wypasaniu bydła. Taka gospodarka wszakże wymaga bardzo niewielkiej liczby ludzi.

Jeżeli ta hipoteza się sprawdzi, jeżeli zajdzie nowy przewrot w technice agronomicznej wielkich gospodarstw rolnych, którego skutkiem będzie znaczne zmniejszenie zapotrzebowania sił roboczych, co stanie się z setkami tysięcy wędrownych robotników? Co poczną ci biedacy, zwłaszcza jeżeli po obecnem ożywieniu przemysłowem nadejdzie nowy przełom i zastój, a nadejdzie niewątpliwie prędzej czy później. Dotąd słyszymy tylko o środkach policyjnych: niektórzy ziemianie w Królestwie domagają się zamknięcia granicy dla wędrownych robotników; junkrzy zaś pruscy wołają o ograniczenie prawa wolnego pobytu (Freizugigkeit), poręczonego przez konstytucyę. Jasnem jest, że takimi środkami nie przeciwdziała się ruchowi, który wskutek warunków ekonomicznych przejawia się z siłą żywiołową.

Dr. J. B. Marchlewski.

W DALI.

Tworki. W jedynym naszym zakładzie dla chorych umysłowo, dzięki inicyatywie dr. E. Przychodzkiego, postanowiono urozmaicać cierpiącym ich dolę smutną dawaniem przedstawień scenicznych. Jest to zresztą przyjęte stale we wszystkich szpitalach tego rodzaju za granicą, a pomijając już wzgląd na rozrywkę pensyonarzy, przypisuje praktyka lekarska takim widowiskom teatralnym wpływ w pewnej mierze zbawienny. I w Tworkach tedy odbyły się już dwa przedstawienia, a wykonawcami byli w części urzędnicy miejscowi, w części chorzy z kategoryi spokojnych.

Łódź. Ogólny brak gotówki wywołuje i w Łodzi, jak głoszą dzienniki miejscowe, wielkie naprężenie w interesach pieniężnych. Jedna z instytucyj kredytowych, nie tak znowu wybredna w przyjmowaniu do dyskonta zobowiązań przedstawianych przez tutejszych przemysłowców i handlujących, na 86,000 rb. zaprodukowanych weksli dała kasie przekaz tylko na 19,000 rb. Taki popłoch nie mógł oczywiście objawić się bez poważnych przyczyn. Należycie poinformowane źródła mówią o kilku firmach, uważanych dotąd za mocne, które od wierzycieli swoich zażądały moratoryum i tylko dzięki uzyskaniu takich odroczeń nie zawiesiły swoich wypłat. Natomiast jako nieodwołalne uważają tutaj bankructwo kilku firm, z których jedna wykazuje pasywa na 160,000 rb., inna, której upadłość sięga 600,000, a głośno mówi się o jednej jeszcze, która jeśli nie ocali się przy pomocy moratoryum, ogłosi niewypłacalność na sumę 800,000 rb.

Płock. Bilans Towarzystwa kredytowego m. Płocka za rok ubiegły przedstawia się tak: Nieumorzone pożyczki udzielone na nieruchomości miejskie 1,093,332 rb., kasa 9,723, w oddziale płockim Banku państwa 57,924, w Towarzystwie wzajemnego kredytu 5,000 rb., w Banku handlowym w Warszawie 22,596 rb. To są aktywa. Różnego rodzaju pasywa tworzą sumę wyrównywającą stanowi czynnemu.

Częstochowa. Pod firmą: „Częstochowskie Towarzystwo górnicze“ zorganizowało się nowe przedsiębiorstwo akcyjne dla eksploatacyi koncesyi kopalnianej, udzielonej pp. Skawińskiemu i Grabijańskiemu. Koncesya udzielona została przed kilku miesiącami. Kapitał akcyjny wynosi 400,000 rb.

Wilno. Rada miejska postanowiła przystąpić do budowy nowego mostu żelaznego na rzece Wilejce, dla zastąpienia dotychczasowego drewnianego, który łączy Wilno z Zarzeczem. — Dla czterech gubernij kraju północno-zachodniego (Wileńskiej, Kowieńskiej, Grodzieńskiej i Mińskiej) otwartą będzie w d. 1 września r. b. wystawa rolnicza, która ma trwać dni 10. Na placu Katedralnym zaczęto już wznosić odpowiednie budynki. — W Rosieniach odbędzie się wkrótce wystawa koni i bydła, a pomiędzy 17 a 19 września projektowaną jest druga podobna w Płungjanach.

KRONIKA.

Wyjaśnienie. Według praktyki dotychczasowej, jeżeli kilka osób wyjechało za granicę za wspólnym paszportem, każda z nich, powracając oddzielnie, musiała posiadać swój własny. Obecnie wyjaśniono, że w takich wypadkach konsulowie mogą rozdzielać wspólny paszport pomiędzy objęte w nim osoby za opłatą 3 rubli. Jakkolwiek koszta korespondencyi i wizy na komorze (50 kop.) pomnożą tę sumę jeszcze o rubla, pozostanie oszczędności co najmniej 11 rubli na każdą osobę, niemogącą jednocześnie z innemi wrócić za wspólnym paszportem. A wiadomo, że zdarza się to bardzo często.

Wielkie oszustwo. W kantorach Banku państwa — lubelskim, warszawskim i chełmskim — odkryto zrealizowanie kilku fałszywych przekazów na 160,940 rb. Oszustwa tego dokonali jeszcze w roku zeszłym dwaj urzędnicy banku berdyczowskiego, ale skutkiem zręcznego zamaskowania teraz dopiero zostało ono odkrytem. Wyśledzeniem uczestników i określeniem granic ich przestępstwa zajęli się umyślnie wysłani z Petersburga delegaci.

Wiadomości społeczne. Ustawa opracowana dla kas pomocy pracowników przemysłu cukrowniczego [illegible] przedewszystkiem doraźną pomoc pieniężną uczestnikom w razie choroby, utraty miejsca, albo śmierci kogokolwiek z rodziny najbliższej. Dalej przewiduje zabezpieczenie bytu na starość, albo pomoc rodzinie pozostałej po zmarłym uczest[illegible]

Reforma miar i wag. *Birż. Wied.* donoszą: Od d. 1 stycznia roku przyszłego obowiązywać będzie nowe prawo o miarach i wagach. Utworzono nowy wzór ruskiego funta z twardej platyny z przymieszką irydu i jego dwie kopie możliwie ściśle zbliżone do pierwotypu. Obliczenia funta na gramy dokonano w porównaniu do międzynarodowego kilogramu nr. 12, który otrzymano od komisyi międzynarodowej, a ta i pierwszy egzemplarz i jego kopie obrobiła jak najszczegółowiej. W ten sposób ułatwione będzie wprowadzenie w Rosyi systemu metrycznego. Za podstawową jednostkę miar długości przyjęto arszyn, po dokładnem określeniu jego stosunku do metra. Jako miarę ciał płynnych wprowadzono naczynie mieszczące $^{1}/_{16}$ wiadra — wagi aptekarskie zniesiono, a natomiast wprowadzono system metryczny. We wszystkich urzędowych i prywatnych sprawach dozwolono używać miar metrycznych na równi z rosyjskiemi, z warunkiem zgodzenia się stron. Określono szczegółowo formy ciężarków, przyczem ciężarki 4 i 5-funtowe wyłączono z pomiędzy wzorów wag prawnych. Bezmianu dozwolono używać tylko roznosicielom i to tylko jednego rodzaju, mianowicie „wag rzymskich.“ Niedokładność prawną w wagach i miarach określono: na ciężarkach pudowych na 0,0006, na funtowych — 0,0011, a na wiadrze, ćwierci itd — na 0,01.

Zabawy dla dzieci. Z pism codziennych dowiadujemy się, że w miejscowości położonej przy zbiegu ulicy Agrykoli z alejami Ujazdowskiemi odbywać się będą pod kierunkiem specyalistów zabawy dla dzieci wieku od lat 8 do 13. Zabawy te rozpoczną się w d. 1 sierpnia i codziennie, między godz. 4 a 8 popołudniu, korzystać z nich będą mogły dzieci, przyczem wzmiankują pisma o pierwszeństwie, pozostawionem dla dzieci rodziców niezamożnych. Nie zapytując w tej chwili, kto wchodzi w skład tego grona specyalistów, nie zamierzając również roztrząsać w tej wzmiance pobieżnej konieczności organizowania zabaw i rozrywek dla młodego wieku, zapytalibyśmy jednakże filantropii otwierającej łaskawie podwoje dla dzieci klas najuboższych, co też ona myśli o położeniu dziecka w rodzinach takich wogóle, a w szczególności o jego codziennej gotowości do przyjmowania udziału w zabawach czterogodzinnych. Wydaje nam się, że panowie specyaliści w organizowaniu zabaw i rozrywek nie są bynajmniej specyalistami w sprawie znajomości warunków bytu naszych klas robotniczych, czyli ubogich. Gdyby im coś niecoś z codziennego trybu życia tych sfer wiadomem było, zapewne nie kusiliby zabawą dziecka, które w wieku między 8 a 13 rokiem życia przykładać się musi w czemkolwiek do pomyślności domu, jeśli nie zarobkować w ścisłem znaczeniu tego słowa.

Otwieranie aptek. Senat rządzący wyjaśnił, że przy rozpatrywaniu podań o prawo otwierania aptek, pierwszeństwo przysługuje farmaceutom, niebędącym właścicielami aptek i tym, którzy nie otrzymali dotąd pozwolenia na otwarcie podobnego zakładu. O ile petentami są właściciele aptek, o pierwszeństwie decyduje wcześniejszy termin prośby, a na wypadek jednoczesnego wniesienia kilku podań tego rodzaju, pierwszeństwo służy posiadającemu stopień naukowy wyższy. Jako punkt ostatni przyjęto większe doświadczenie w zawo[illegible]

Wystawa paryska. Dla użytku mających zamiar wysłać na wystawę w Paryżu okazy sztuki lub przemysłu, dzienniki petersburskie komunikują objaśnienia tej treści. Wysyłający okazy bezpośrednio powinien wyprawić je tak, aby doszły miejsca przeznaczenia najpóźniej d. 27 stycznia r. p. Wysyłający kioski lub witryny dostawić je powinni najpóźniej d. 13 grudnia r. b. Kto wysyła okazy swoje za pośrednictwem ustanowionych punktów zbiorowych, ten obowiązany jest egzemplarze zwyczajne dostarczyć najpóźniej 13 grudnia r. b., a witryny i kioski przed 13 listopada r. b.

Poczta i telegraf. *Nowosti* donoszą, iż główny zarząd poczt i telegrafów przesłał okólnik do naczelników okręgów pocztowo-telegraficznych, aby zarówno zarządy miejskie, jak osoby prywatne, zwracające się z żądaniem zaprowadzenia urządzeń pocztowo-telegraficznych, wymieniały w podaniach warunki, dotyczące szczegółowo ich zobowiązań względem zarządu poczt, oraz oznaczały terminy wypłaty skarbowi zobowiązań pieniężnych.

Sprzedaż drzewa. Zarząd dóbr państwowych wystawia na sprzedaż z lasów, zostających pod jego

zawiadywaniem poręby, a mianowicie: z leśnictwa Nowo-Aleksandryjskiego za 39,675 rb. — Chełmskiego za 82,028 rb. — Lubelskiego za 25,497 rb. — Łukowskiego za 14,521 rb.—Janowskiego za 37,662 rb. — z Parczewskiego za 11,700 rb. — Radoszyckiego za 59,398 rb. — Łagowskiego za 77,342 rb.— Z leśnictw: Radomskiego, Kozienickiego i Smoleńskiego za 191,990 rb. — Szydłowieckiego za 28,159 rb. Małogoskiego za 47,750 rb. — Samsonowskiego za 19,896 rb. i z leśnictw Katarzyńskiego i Kieleckiego za 101,839 rb. Ogółem wynosi suma targowa wystawionego na sprzedaż drzewa 726,456 rubli.



Odpowiedzi Redakcyi.

Rymopisowi. W wierszach Pańskich jest dużo powszedniej liryki, pustych słów i zamazanych obrazów. Ot np. w „Improwizacyi": Co to jest „*płomienny* duch wszechświata"? — lub „*ognisty język* czasu"? — lub „czeluście trupich rozkoszy"? Jaka to „strzała przepada w przestworzu"? Pisze Pan:

A moment *ów*,
To moment mojej zguby."

Wprawdzie „moment ów" rymuje się z „lwów," ale czemże on się różni od „moment ten"? I tak dalej.

Panu W. P. Wojciechowskiemu w O. P. Nie możemy odczytać adresu w liście Pańskim.

Dzieło dr. J. Dallemagne'a

Człowiek zwyrodniały,

które dołączaliśmy zeszytami w dodatkach Prawdy, wyszło w osobnej książce. Cena ogromnego tomu (742 str.) wynosi tylko dwa ruble bez przesyłki.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 16 Іюля 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, 8.